



1 VIII 1944



Żołnierze batalionu „Zośka” AK po wyjściu z kanałów na ul. Wareckiej. Fot. Jerzy Tomaszewski / domena publiczna, koloryzacja Mikołaj Kaczmarek.

Intrygująca Gloria Kossak



Jaka była Gloria? Naturalnie dystygowana, o pozie i manierach wielkiej damy. I tak się stało, że przez kolejne dwa lata często gościłem w Kossakówce. Gloria w rozmowie była przyjacielska i bezpośrednia, ale bardzo rzadko dzieliła się z kimś swoimi planami, rozterkami czy problemami.

str. 4

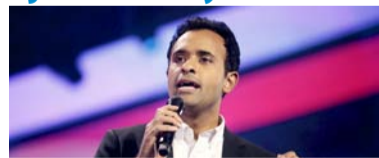
Inżynieria przedsiębiorczości



Rozmowa z prof. Tomaszem Arciszewskim, wnukiem Tomasza Arciszewskiego, bojownika niepodległościowego u boku Józefa Piłsudskiego, jednego z przywódców PPS, założyciela Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i wieloletniego dyrektora Ośrodka TPD Helenów, ministra w rządzie II RP oraz premiera w Polskim Rządzie na Uchodźstwie.

str. 5

Polacy wybierają prezydenta Stanom Zjednoczonym



Nic dziwnego, że dla Polaków uwiedzionych stuletnim konceptem Giedroycia oraz mirażami obecnej propagandy wojennej, według której nasi wygrywają, bo są bezwarunkowo dobrzy, natomiast wróg musi przegrać, bo jest skrajnie zły, jedynym właściwym prezydentem USA w kadencji 2025–2029 może być tylko „Joe Biden”.

str. 8

Mistrz ostatniej sali



Śladów artysty i jego dzieł można poszukiwać w Warszawie, Malborku, Krakowie, Częstochowie, Gdańsku, Poznaniu, Wrocławiu, Przemyślu, Tarnowie, Bydgoszczy, Toruniu, Rzeszowie, Bochni, Lublinie, Katowicach oraz w kolekcjach ze zbiorów prywatnych. Część obrazów i rysunków znajduje się w różnych miejscach na świecie (Watykan, Zagrzeb, Princeton).

str. 12

Amerykańskie problemy z Ukrainą



Do tej pory Stany Zjednoczone przekazały Ukrainie dziesiątki miliardów dolarów na pomoc, w tym na dostawę broni i szkolenie ukraińskich sił zbrojnych. USA wysłały wyrzutnie przeciwpancerne i przeciwlotnicze, artylerię, systemy obrony przeciwrakietowej Patriot, czołgi i inne opancerzone pojazdy bojowe.

str. 14

„...Dzień krwi i chwały, oby dniem wskrzeszenia był”

■ Do Warszawy, a szczególnie do Powstania Warszawskiego 1944 roku, mam niejako stosunek osobisty, emocjonalny. Nie mogę usunąć uczuć z chłodnej relacji dziennikarza lub analitycznej kalkulacji historyka, operującego oceną zdarzeń i dokumentów. Splata się bowiem w mojej osobowości nie tylko wątek wschodni (kresowy), zwłaszcza lwowski, lecz również związany z Warszawą, gdzie się urodziłem, powiedzmy, przypadkiem.



Nie jest to jednak stolica współczesna, lecz Warszawa mego wujka i jego przyjaciół. Nie będę przytaczał dat z 63 dni powstańczych, czy analizował politycznych przyczyn i tragicznych skutków, ani rozstrzygał czy należało wszczynać Powstanie. Z pamięci przywołuję różne oceny m.in. mojej nauczycielki Teresy Pakuły, córki oficera z kampanii wrześniowej 1939, która jako mała dziewczynka z matką przeżyła powstanie i exodus powstańczy lub choćby kilka dyskusji z Kornelem Morawieckim (rocznik 1941). Nie jest to tylko wielowiekowy niegasnący polski spór między pragmatykami i romantykami narodowych działań niepodległościowych. Dziś powinna to być ocena legendy powstańczej i jej funkcji w obecnym społeczeństwie polskim.

Napisano o Powstaniu kilka wspaniałych książek, które różnią się w ocenach merytorycznych i emocjonalnych tego wydarzenia. Ukazały się setki rzeczowych historycznych artykułów o zacięciu polemicznym i wreszcie wiele przejmujących wspomnień uczestników, dla których początek znanej pieśni – *oto dziś dzień krwi i chwały, oby dniem wskrzeszenia był*

– brzmiał i brzmi szczególnie. Również dla mnie „Warszawianka roku 1831” bardziej kojarzy się nie tyle ze zrywem listopadowym co raczej z Powstaniem w Warszawie w 1944 roku. Ta pieśń mnie uwzniośla i buduje moją tożsamość. I jeszcze jedna pieśń, która zawsze chwyta mnie za gardło i trudno mi się ją śpiewa – *Warszawskie dzieci pójdziemy w bój...* Kto dzisiaj nie zna lub choćby nie zanuci parę piosenek powstańczych.

Wydarzenia Sierpnia 1944 weszły od razu z chwilą powstańczego wybuchu do kanonu polskości i dobrze się stało, że rocznicę Powstania sygnalizują od kilkunastu lat syreny nie tylko w stolicy, lecz także w innych miastach Polski. Kiedyś nieodłącznym rytuałem były wielotyśne spotkania na cmentarzu powązkowskim. Jak mawiał mój przyjaciel, Tadeusz Rylke, o pokolenie starszy ode mnie, o etosie kresowym, ale również powstaniec warszawski – „Pierwszego Sierpnia mam obowiązki i jadę na Powązki”. Jeździł co roku przez wiele lat, a po raz ostatni na dwa lata przed śmiercią, już w wolnej Polsce. Topniały szeregi powstańcze, rosła legenda.

Etos Powstania i jego znaczenie dla uczestników i następnych pokoleń wielokrotnie wyjaśniano. Posłużę się tu przykładem wyjątkowym. Zachodniemiecki historyk, Wolfgang Jacobmeyer (ur. 1940) napisał wspaniałą, według mnie jedną z najlepszych książek o początkach polskiego podziemia w czasie II wojny światowej. Na podstawie dokumentów, w tym statystycznych, posługując się metodologią socjologiczną, wyjaśnił chęć oporu Polaków i walki konspiracyjnej. W konsekwencji, co wzbudza podziw autora, moi rodacy rozpoczęli budowę struktur państwa podziemnego, którego wzór czerpali z Powstania Styczniowego. Powszechność tych działań, nawet wbrew elementarnym zasadom konspiracji, według tego niemieckiego historyka, należy zawdzięczać polskiej edukacji międzywojennej, kształtującej wzór postaw patriotycznych i moralnych. Idąc tym tropem, trudno sobie wyobrazić, że społeczeństwo polskie wraz ze swym wojskiem nie stawiałoby oporu we wrześniu 1939 roku, a później mimo straszliwego terroru hitlerowskiego nie zbudowałyby Państwa Podziemnego. Czytałem drugie (poprawione) wydanie tej pracy, która ukazała się w 1980 roku.

Dziś mogę dodać, skrótkowo, że Powstanie Warszawskie wygrało w następnym pokoleniu, które umownie określa się pokoleniem Jana Pawła II, a więc wiele lat po śmierci wujka i pana Rylkego.

Słowo „Powstanie” zawsze wymawiam z szacunkiem, wzorem mego wujka, uczestnika krótkich zmagani powstańczych na warszawskiej Pradze w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku. Pod koniec września wywinął się z sowieckiej obławy na powstańców w okolicach Zielonki i uniknął wtrącenia do obozu filtracyjnego lub co gorsze do katowni NKWD.

Od lat młodzieńczych, podobnie jak wujek, oczekuję co roku na rocznicę godziny „W” z zegarkiem w ręku. Gdy wybija godz. 17.00 bez patosu wypowiadam, jak on – co może zaskakiwać czytelnika – stwierdzenie „*Aufstand in Warschau*”. Użycie języka zajadłych wrogów polskiego zrywu niepodległościowego ma tu znaczenie, co zrozumiałem znacznie później, w dorosłym życiu. Hitlerowcy przez całą okupację nazywali nas bandytami, ostatecznie rezerwując dla „Polaczków” określenia przypisane do „podludzi” i powszech-

nie uznane za niecenzuralne. Tym razem wyżsi dowódcy Wehrmachtu i SS użyli terminu politycznego – „Powstanie”. To już nie była „akcja ochronna” lub „specjalna”, lecz walka z uzbrojonym polskim przeciwnikiem. Wydawało się, że przywracano Polakom godność. O nie! To powstańcy wywalczyli swoją postawą godność. Przecież nie przeszkadzało to Niemcom w realizacji akcji ludobójstwa, na przykład na warszawskiej Woli. Jeden z dowódców i wykonawców rzezi generał porucznik (*General-leutnant*) Heinz Reinefarth nigdy nie poniósł za swoje ludobójcze czyny odpowiedzialności, podobnie jak wielu pomniejszych rangą sprawców. Pytanie o dostojność wymiaru sprawiedliwości wydaje się być dzisiaj zbędne. Dodać jednak wypada, że nie chodzi dziś zasadniczo o rozpatrywanie martyrologii mieszkańców Warszawy, lecz o godność właśnie, o jej znaczenie i utrwalanie w pamięci następnych pokoleń.

Powoli zbliża się dzień 1 sierpnia i godzina 17.00. Zegarek jest, jak zawsze, przygotowany... i tyka. Czekają na godzinę „W”.



Podcasty premiera Mateusza Morawieckiego

O tym, co ważne – dla Polski i Polaków premier opowiada w krótkich około 10 minutowych odcinkach, przeważnie co tydzień, począwszy od września 2021 roku. Od tego czasu uzbierało się już 97. wypowiedzi. Możemy ich posłuchać na platformach Spotify, Google Podcast oraz Apple Podcast. Poniżej najnowszy „wakacyjny” odcinek z 23 lipca b.r.

O przygodach Indiany Jonesa

Dzień dobry, z tej strony Mateusz Morawiecki. Witam, w kolejnym odcinku podcastu.

Ci z Państwa, którzy słuchają regularnie mojego podcastu, wiedzą, że jedną z moich ulubionych form relaksu są filmy i książki. Tak się składa, że w kinach grają właśnie nową odsłonę przygód „Indiany Jonesa” – a ja jestem jego wielkim fanem. Indiana Jones to mój wzór z Sevres, jeśli chodzi o kinową rozrywkę. Właśnie o nim i o przemysłach, do których mnie skłonił, chciałem Państwu opowiedzieć. Myślę, że nie zdradzę zbyt wiele. Więc także ci z Państwa, którzy piątą część przygód „Indiany Jonesa” mają jeszcze przed sobą, nie muszą obawiać się o spoiler. Na początek pozwolę sobie wyjaśnić Państwu, dlaczego postanowiłem poruszyć akurat temat nowego Indiany. Po pierwsze, Indy to jeden z moich ulubionych filmowych postaci. Jest bohaterem, który przełamał stereotyp nudnego historyka, pokutujący w głowach wielu młodych ludzi. Postać Indiany pokazuje, że archeologia, a więc ważna część nauk o historii, może być pasjonującą przygodą. W ogóle historia to domena odkrywców. Drugi powód to przełamywanie stereotypu starości. Indy z artefaktu przetrwania, podobnie jak profesor Jones senior, z nieodżałowanym Seanem Connerym w tej roli, pokazuje, że przygody i życie pełnią życia to domena nie tylko młodości. Po trzecie, nienachalnie przypomina o sprawach ważnych dziś, szczególnie dla naszego kraju. I w końcu, jak słyszałem, ma to być ostatnia część kultowej serii. Więc cytując głównego bohatera: patrzmy, jak tworzy się historia.

Niesamowite, jak ten czas leci. Od premiery pierwszej części minęły 42 lata. A jako archeolog, awanturnik, wciąż ten sam, niezawodny Harrison Ford. Jego Indy, choć wyraźnie starszy, to nie zestarzał się w ogóle. Myślę, że wiecie państwo, co mam na myśli. I nie chodzi mi tu o pierwsze sceny, które dosłownie wgniotły mnie w fotel. Jeszcze do tego wrócę. Chodzi o świetną formę aktorską i fizyczną czwartkowego solenizanta. Trudno uwierzyć, że skończył 81 lat. Artefakt przeznaczenia zaczyna się od klasycznej sceny. Zamek gdzieś w Alpach, II wojna światowa dobiega końca, Niemcy ładują do pociągu zrabowane skarby światowej kultury. Wśród nich znajduje się tytułowy artefakt przeznacze-

nia. *Chapeau bas* dla polskiego dystrybutora za modyfikację tytułu. Potyczki z nazistami o odzyskanie cennych historycznie artefaktów to, można powiedzieć, chleb powszedni profesora Jonesa. Tym razem nie mogło i nie powinno być inaczej. Pułkownik SS, Weber, epizodyczna, ale świetna rola Thomasa Kretschmanna, mimo tego, że Berlin upadł, a jego Führer nie żyje, zamierza wykonać swoją misję.

I tu pierwsza dygresja. Najnowszy „Indiana Jones” to istny wehikuł czasu, w wielu aspektach. Patrząc na to wszystko, oczywiście nie sposób było nie pomyśleć o tym, ile Niemcy ukradli z samej tylko Polski. I nasza wspólna historia z Niemcami w pewnych sprawach jakby stała się w miejscu. Minęło kilkadziesiąt lat, a oni nadal nie rozliczyli się ani za zbrodnie, ani za grabieże.

Nie zaskoczę nikogo mówiąc, że Indiana Jones radzi sobie z hitlerowcami w swoim starym, dobrym stylu. I to dosłownie. Tym, co zrobiło na mnie spore wrażenie w pierwszych kilkunastu minutach, było użycie komputerowych efektów specjalnych. I nie chodzi to nawet o spektakularne sceny akcji. Nie zepsuje chyba nikomu zabawy mówiąc, że Harrison Ford wygląda tu chyba młodziej niż w „Poszukiwaczach zaginionej arki”. To, co potrafią dziś zrobić specjaliści od efektów specjalnych, jest niesamowite. Przyznam jednocześnie, że trochę przerażające. Obrazy z kamery i wygenerowane przez komputerowe magików są nie do odróżnienia, przynajmniej dla mnie. Jeśli jest gdzieś dobre miejsce dla technologii typu *deep fake*, to właśnie w kinie. Ale nie miejmy złudzeń, że nie znajdują się tacy, którzy będą sięgać po nią do mniej szlachetnych celów. Wracając do fabuły. Początek filmu to retrospekcja. W filmowej terażniejszości jest rok 1969. Amerykanie właśnie wysłali ludzi na księżyc. Fetują zwycięstwo w kosmicznym wyścigu ze Związkiem Radzieckim niespełna ćwierć wieku po zakończeniu II wojny światowej. Co złego może się zdarzyć, ot koniec historii. Jednak właściwa historia dopiero się zaczyna. W Nowym Jorku starszy profesor archeologii zostaje oddelegowany na emeryturę, wnioskując z jego reakcji, niezastępowaną emeryturę. Na szczęście dla fabuły i świata za sprawą dziarskiej, wysokiej brunetki okazuje się, że to jedynie emerytura od studentów i wykładów, a prawdzi-

we wyzwania i przygoda dopiero przed nim. I tu kolejna dygresja.

W bloku reklamowym wyświetlanym przed seansem pojawiła się reklama, której głównym motywem były stereotypy na temat emerytów. Zwykle nie zwracam większej uwagi na reklamy, ale ta trafia w punkt. I z niej, i przede wszystkim z fabuły filmu, płynie cenna nauka. Zarówno dla młodych, tych, którzy zbliżają się do wieku pozwalającego przejść na emeryturę, jak i dla samych emerytów. Emerytura nie musi i nie powinna być końcem marzeń i planów. Może być za to początkiem nowych. Starzy ludzie są potrzebni światu nie mniej niż młodzi. To myślenie jest mi bardzo bliskie. Wcale nie ze względu na wiek, a połówę dystansu do setki przekroczyłem już pięć lat temu. W swoich podróżach po kraju spotykałem się z tysiącami ludzi, od tych najmłodszych po tych, którzy przekroczyli magiczną setkę. Wszyscy oni mieli w oczach tę samą iskrę. Żyje się od początku do końca. To banalna prawda, ale nie wszyscy politycy biorą ją na serio. Chyba, że dotyczy ich samych.

Wracając do fabuły. W nazistowskim pociągu poza pułkownikiem Weberem i jego podkomendnymi znajduje się naukowiec Jürgen Föller-Welschmidt. Kolejna świetna rola, tym razem Madsa Mikkelsena. Ambitny fizyk, jak nic nawiązujący do postaci genialnego konstruktora rakiet i współautora amerykańskiego programu kosmicznego Wernera von Brauna, z własnym perwersyjnym planem na wykorzystanie tytułowego artefaktu. Jest dowodem na to, że zło potrafi wrócić w najmniej oczekiwanym momencie. Oraz, że pozory dość często mylą. To kluczowa postać filmu i jednocześnie autor kwestii, które skłaniają do refleksji.

Najbardziej intrygujące jest to zdanie: *przeszłość należy do nas*. Kiedy udaje mu się przejąć tytułowy artefakt przeznaczenia... Nie będę zagłębiał się dalej w fabułę, by nie zdradzać zbyt wiele. Dla porządku powiem, że czas odgrywa w filmie kluczową rolę. Nie chodzi o oczywisty dla konwencji filmu wyścig z czasem, ale władzę nad nim, w dosłownym sensie. Ten, kto ma sposób i moc, by zmienić przeszłość, będzie miał władzę nad przyszłością. Kwestia podróży w czasie i wszystkiego, co mogłoby z nich wynikać, to wzięty temat w literaturze i kinematografii

science fiction. Jednocześnie poważny temat rozważań fizyków teoretycznych, ale ma też wartość alegoryczną. Jak powiedział kiedyś genialny Stephen Hawking, bez przeszłości tracimy swoją tożsamość. To przeszłość definiuje to, kim jesteśmy. Dodałbym do tego, że definiuje też to, gdzie jesteśmy. Dlatego znajomość własnej historii to konieczność, a obrona prawdy o niej, to nasz obowiązek. W uproszczeniu właśnie o to chodzi w polityce historycznej. Ten, kto dyktuje historię, ma, szanowni państwo, wpływ na terażniejszość i przyszłość. Nie trzeba przy tym odbywać podróży w czasie. Wystarczy przeforsować swoją wersję historii. Zupełnie tak, jak starają się to od lat robić z historią naszej części Europy – Niemcy i Rosjanie. Jedni bardziej subtelnie, drudzy bez pardonu. Powszechnie znane jest powiedzenie, że to zwycięzcy piszą historię. To

zdaje się w innym moim ulubionym filmie *Braveheart* z Melem Gibsonem jest zdanie, że *historię piszą ci, którzy wieszali bohaterów*. Jeśli chcemy być jednak wśród zwycięzców, musimy pisać historię my sami. Inaczej ktoś inny napisze ją i opowie po swoim.

Na koniec jeszcze jedna rzecz. Wakacje trwają już od ponad trzech tygodni, ale do tej pory nie miałem okazji życzyć państwu, by były bardzo udane. Udane przynajmniej tak, jak Jamesowi Mangoldowi i Harrisonowi Fordowi udało się piątą część „Indiany Jonesa”. **Nie dajcie się dołować tym, którzy żyją od lat z podcinania skrzydeł innym. Dziś wszystko znów jest w waszych rękach, niezależnie od tego, czy macie tyle lat co filmowy Teddy, Helena czy Indiana Jones. Dziękuję za dziś i zapraszam za tydzień. Mówił Mateusz Morawiecki.**

Ryszard Czarnecki RYSIE OKO



Czy Rosja zaingeruje w wybory w Polsce?

Wiem, że wielu z nas przyzwyczało się do wojny za naszą wschodnią granicą, przywykło do niej i traktuje to jako część krajobrazu: jest, bo jest. Ma to swoje dobre strony, ale ma też złe. Uznanie, że wojna to norma i dopust Boży, a skończy się, jak się skończy – stępnia czujność, ogranicza wyobraźnię.

Zatem, aby ową czujność zwiększyć zabawię się w Prokoka Ryszarda i przepowiem (albo postawię hipotezę), że Polska, czyniąc gigantyczny wysiłek, gdy chodzi o powiększenie armii i jej nowoczesne uzbrojenie, nie kupiła sobie wcale bezpieczeństwa na stałe. Wręcz przeciwnie. Uważam, że grożą nam prowokacje i tak zwane „incydenty” ze strony Rosji. Nie muszą to być wcale działania oficjalnych struktur armii rosyjskiej. Mogą to być na przykład ataki, wypadki, ostrzały z terytorium Białorusi, za które odpowiadać będą żołnierze Grupy Wagnera. I wtedy na jakiegokolwiek monity szeroko rozumianego Zachodu do Moskwy Putin odpowie, wznosząc ręce ku prawosławnemu niebu: „Cóż ja mogę? Przecież to ludzie Prigożyna, tego, co mnie chciał obalić, co maszerował na Moskwę!” Z wywodów Putina i rosyjskich mediów, także tych anglojęzycznych (w które Moskwa inwestuje spore pieniądze), będzie wynikało, że Grupa Wagnera to taki sam wróg Polski, jak... tegoż Putina, wróg NATO, tak jak Moskwa, wróg Zachodu, tak jak Kremla. Tę metodę Rosja zasto-

sowała już w trakcie, a zwłaszcza po II wojnie czeczeńskiej, gdy dość skutecznie zaczęła przedstawiać Zachodowi Czeczenów jako terrorystów, którzy przecież mogą robić akcje terrorystyczne nie tylko wewnątrz Rosji, ale też „u Was, na Waszym Zachodzie”. Wtedy Kreml znalazł wspólny mianownik z Zachodem w postaci walki... z terroryzmem. Jedni i drudzy przecież, według rosyjskiej narracji – ci z ISIS (Państwa Islamskiego) i ci z Czeczenii, to muzułmańscy terroryści. Narrację tę Moskwa spotęgowała, gdy część Czeczenów, na przykład synów imigrantów, którzy uciekli z Rosji, a którzy schronili się na Zachodzie – konkretne przykłady z Austrii – znaleźli się w szeregach ISIS walczących w Syrii.

Nawet przerwa w wojnie w Europie Wschodniej, która zapewne przybierze formę zawieszenia broni – nastąpi to zapewne w przyszłym roku – wcale nie musi oznaczać zawieszenia wojny hybrydowej i nie wykluczy jakichś akcji zbrojnych czy prowokacji przeciwko państwu polskiemu.

Ba, nastąpić one mogą w najbliższym czasie. Czy pamiętacie Państwo serię krwawych zamachów terrorystycznych tego samego dnia tuż przed wyborami parlamentarnymi w Hiszpanii, na skutek czego straciła władzę centroprawicowa Partia Ludowa, a zyskała ją lewica? To oczywiście, że Rosja może chcieć ingerować w wynik wyborów w Polsce.

Prawda jest ciekawa

Redaktor naczelny: Marta Morawiecka, sekretarz redakcji: Agnieszka Marczak.

Autorzy: Artur Adamski, Andrzej Bafalukosz, Tomasz Białaszczyk, Marek Bober, Ryszard Czarnecki, Piotr Gaglik, Grzegorz Gorczyca, Mieczysław Góra, Krystyna Jagoszewska, Mateusz Jerzmański, Adam Maksymowicz, Andrzej Manasterski, Aleksandra Polewska-Wianecka, Stanisław Srokowski, Artur Waszkielewicz, Piotr Waszkielewicz, Magda Wysocka, Waldemar Żyszkiewicz. Skład: Artur Waszkielewicz; e-mail: info@prawdajestciekawa.pl; www.prawdajestciekawa.pl

Intrygująca Gloria Kossak



BEATA
STRAGIEROWICZ

■ Rodzinę Kossaków tworzyły osobowości, które zapisały się złotymi zgłoskami w historii polskiej kultury. Gloria Kossak (1941 – 1991), wnuczka Wojciecha Kossaka, z całą pewnością była postacią intrygującą i nietuzinkową. Malarka, poetka, pasjonatka rajdów samochodowych, ale przede wszystkim kobieta, która przez lata starała się być strażniczką rodzinnej tradycji. W 2020 r. podczas zbierania materiałów do książki *Panoramowe spotkania* nawiązałam kontakt z Andrzejem Kaweckim z Zakopanego, który znał Glorię i był tak uprzejmy, że udostępnił mi jej zdjęcia oraz podzielił się wspomnieniami o niej.

W połowie lat siedemdziesiątych XX w. jego przyjaciel, fotografik pracujący w Uniwersytecie Jagiellońskim, zaprosił go do Kossakówki – krakowskiego domu Kossaków – na jeden z wieczorów, które urządziła tam Gloria. Wizytę w Kossakówce wspomina tak:

Gdy po raz pierwszy przekroczyłem jej próg, a było to w połowie 1974 roku, doznałem uczucia przeniesienia w czasie do innej epoki. Wnętrza jakby wyrwane z muzeum: meble, obrazy, porcelana, różnego rodzaju bibeloty i niesamowity wręcz nastrój, przegazzone światła, palące się świece, a w środku Ona – dama w pełnym tego słowa znaczeniu – Gloria Kossak. Przyznam szczerze, że poczułem się nieco onieśmiałony będąc pod ogromnym wrażeniem miejsca, w którym się znalazłem. Ale już po pierwszym kontakcie z Glorią wiedziałem, że będę tu często bywał. Kossakówka to nie była zwyczajna kawiarnia wypełniona antykami, to był salon, oaza, miejsce, w którym toczyły się intelektualne dysputy, gdzie prezentowali swój dorobek artyści, gdzie bywali wybitni przedstawiciele świata kultury. Wnętrza wypełnione były muzyką, dymem z papierosów i zapachem wina.

Jaka była Gloria? Naturalnie dystygnowana, o pozie i manierach wielkiej damy. I tak się stało, że przez kolejne dwa lata często gościłem w Kossakówce. Gloria w rozmowie była przyjacielska i bezpośrednia, ale bardzo rzadko dzieliła się z kimś swoimi planami, rozterkami czy problemami. Od pierwszego spotkania udało mi się zaskarbić jej sympatię i zaufanie. Miała rozległe plany stworzenia z Kossakówki muzeum połączonego z salonem kultury, czegoś w rodzaju rodzinnego panteonu poświęconego rodzinie Kossaków. Ale wszystkie te pomysły przy zderzeniu się z realiami dnia codziennego, pozostawały nie tyle w sferze marzeń, co pobożnych życzeń. Te wszystkie jej plany nie znajdowały zrozumienia i wsparcia ani ze strony instytucji, na których powinien spoczywać obowiązek dbałości o materialne i niematerialne dziedzictwo kultury, ani ze strony rodziny, w tym również Simony, której przyjazd do rodzinnego domu nie należały do przyjemnych chwil dla



Gloria Kossak w Kossakówce; dzięki uprzejmości Andrzeja Kaweckiego



Plakat Wojciecha Kossaka *Polski Fiat*; domena publiczna

Glorii. Czasami robiła wrażenie całkowicie oderwanej od realiów i rzeczywistości, żyła jakby w innym świecie stworzonym dla siebie i przez siebie. Mam wrażenie, że dodatkowo przytłaczał ją ciężar sławy jej znakomitych przodków, do czego oczywiście nie chciała się przyznać. Te wszystkie problemy natury ekonomicznej, relacji rodzinnych, ale i osobiste, stopniowo stawały się dla niej nie do zniesienia będąc powodem do ucieczki w przestrzeń, z której powrót jest praktycznie mało realny. (...) Chwile spędzone w Kossakówce na lata pozostały w mojej pamięci.

Warto jeszcze przypomnieć, że wielką pasją Glorii Kossak były rajdy samochodowe. Używała stosowną licencję i była pierwszą kobietą, która w 1985 r. zdobyła tytuł rajdowego mistrza Polski. Należała do jednej z barwniejszych postaci krakowskiego środowiska rajdowego. Jeździła jako pilot, m.in. takich kierowców jak Krzysztof Senft, Janusz Makówka czy Andrzej Witkiewicz. Pasję motoryzacyjną Gloria odziedziczyła po dziadku Wojciechu Kossaku, który kochał samochody prawie tak samo jak kochał kobiety i konie. Był pierwszym prezesem Krakowskiego Klubu Automobilowego. W 1934 r. dla spółki Polski Fiat zaprojektował plakat, w którym połączył obie pasje – konie i samochody. Auto marki Fiat ściga się z konnym wozem, podobnym do tych, które malarz wiele razy umieszczał na swych obrazach przedstawiających krakowskie czy góralskie wesela.

W czerwcu 1986 r. Gloria odwiedziła Muzeum „Panorama Racławicka” we Wrocławiu. Po obejrzeniu monumentalnego dzieła swego dziadka tak wpisała się do księgi pamiątkowej:

Jestem wzruszona mogąc zobaczyć na żywo, to co do tej pory mogłam widzieć tylko na reprodukcjach. Mam wyobraźnię, ale nie byłam w stanie wyobrazić sobie tego ogromu żywej przestrzeni, która tętni pełnią życia. Każdy Polak powinien to arcydzieło zobaczyć.

Gloria Kossak zmarła w Kossakówce w 1991 r. mając zaledwie 50 lat. Jej córki nie zdecydowały się zamieszkać w rodzinnym domu Kossaków.

Wywiad

MARTA MORAWIECKA



Inżynieria przedsiębiorczości

■ Rozmowa z prof. Tomaszem Arciszewskim z George Mason University, wnukiem Tomasza Arciszewskiego (1877-1955), bojownika niepodległościowego u boku Józefa Piłsudskiego, jednego z przywódców PPS, założyciela Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i wieloletniego dyrektora Ośrodka TPD Helenów, ministra w rządzie II RP oraz premiera w Polskim Rządzie na Uchodźstwie.

Wspominał Pan, że prawdopodobnie widział się z moim tatą, Kornelem Morawieckim, w Ameryce, jak on został wyrzucony z Polski w maju 1988 bez prawa do powrotu.

To jest bardzo możliwe.

Ojciec był wtedy kilka miesięcy na zachodzie. Naprzód parę dni w Rzymie, gdzie spotkał się z naszym papieżem. Potem blisko 3 tygodnie przebywał w Londynie i rozmawiał z przedstawicielami Rządu Polskiego na Uchodźstwie oraz Polonii brytyjskiej. A następnie poleciał do Stanów Zjednoczonych i miał spotkania zarówno z reprezentantami administracji amerykańskiej, Janem Nowakiem Jeziorańskim, Zbigniewem Brzezińskim jak i z szeregiem osób z Polonii amerykańskiej.

To był okres, gdy ja byłem związany z taką organizacją, Północnoamerykańskie Studium Spraw Polskich. I od czasu do czasu, na tym stanowisku organizowałem wizyty i wystąpienia ludzi, którzy przyjeżdżali z Polski. Wtedy miałem dom w Bloomfield Hills, niedaleko Detroit. Ale nie jestem w stanie udowodnić, że to był pani tata, aczkolwiek takie mam wrażenie. Tak, bo to był szereg osób.

Tato wykorzystał obecność w USA do propagowania sprawy niepodległości Polski i innych państw systemu komunistycznego a także działającej w kraju w konspiracji Solidarności Walczącej, organizacji, którą założył w stanie wojennym. Od czasu, kiedy ta struktura wyodrębniła się z podziemnego ruchu związkowej Solidarności, była trochę pomijana na zachodzie, czasem poddana ostracyzmowi. Mimo że działała najprężniej, szkodząc komunie wszędzie tam, gdzie się dało. SW tworzyła dziesiątki niezależnych drukarni i radiostacji, organizowała demonstracje, wydawała odezwy kierowane do żołnierzy radzieckich stacjonujących w Polsce a także ulotki drukowane w językach naszych sąsiadów. Kornel Morawiecki, będąc w Ameryce, z pewnością zabiegał o wsparcie.

Jestem przeświadczony. I prawdopodobnie przyjechał do Michi-

gan, gdzie było duże skupisko Polaków i pewno miał jakieś wystąpienie, jak ci panowie zazwyczaj mieli. Prawdopodobnie szukano też, gdzie go ulokować na noc. Mogło tak być.

Ale wróćmy do Pana. Legitymuje się Pan przeciekawym życiorysem i ogromnym dorobkiem naukowym. Pana aktywność z początku dotyczyła Polski, a potem dłuższy czas miała miejsce na emigracji. Jednak widać też w Panu umiłowanie swoich korzeni.

To jest przekleństwo i błogosławieństwo. Ale przede wszystkim to drugie.

W tej chwili w Polsce promuje pan innowacyjność. To są Pańskie dokonania, nakierowane na przyszłość, wynalazczość, inżynierię, innowacyjność. Na temat wynalazczości, widzę tu przeciekawe Pańskie publikacje. Ogromnie dziękuję. Jednak wspominał Pan także o tym, że zabierze głos w trakcie uroczystości odsłonięcia wystawy poświęconej pana dziadkowi śp. Tomaszowi Arciszewskiemu, notabene też Tomaszowi. Mógłby Pan przytoczyć jakieś wspomnienia dotyczące tej wybitnej postaci w Pana rodzinie?

Tak naprawdę ja się na ten temat od rodziców niczego nie dowiedziałem. Rodzice mnie chronili. To dla rodziców, całej rodziny było raczej przekleństwo w PRL i obciążenie. Ojciec przecież trafił do więzienia. Ja mam całą teczkę z IPN-u na ten temat i tam są różne ciekawe rzeczy.

Jak miał na imię ojciec?

Tadeusz. Tadeusz Arciszewski. Dziadek jest powiedzmy wielką postacią historyczną (Tomasz Arciszewski – działacz niepodległościowy, czołowy polityk PPS, premier rządu londyńskiego RP), ale z punktu widzenia rodziny to nie było łatwe. Ponieważ dziadek wszystkie pieniądze pakował w sierotki z Towarzystwa Przyjaciół Dzieci (TPD), a dom utrzymywała z trudem jego żona, dając sobie jakoś radę.

Jak się nazywała?

Aleksandra Arciszewska. Z domu Sidorowicz. Ona też była na Syberii, była również aresztowana.



Prof. Tomasz Arciszewski z lewej, na konferencji Genius Loci.

Bardzo dzielna kobieta, silny charakter, podobno atrakcyjna i żyjąca też tak jak dziadek pełnią życia. Niesłychanie aktywna, zaangażowana i dlatego ojciec uważał, że ona była silniejszą osobowością niż dziadek. Doskonale pamiętał jakąś kłótnię w rodzinie. W pokoju stołowym był taki duży, okrągły stół i podobno babka goniła dziadka z wielkim naganem. Dziadek to traktował bardzo poważnie, on wielki bojowiec.

O co chodziło?

Jakieś sprawy rodzinne, pewnie zupełnie trywialne. To były po prostu dwie bardzo potężne osobowości, które się, że tak powiem, nie w pełni dobrały. I prowadziły raczej oddzielny tryb życia. Babka jak na ówczesne czasy była wykształcona, była fizykoterapeutką. Mam nawet jej dyplom. Prowadziła gabinet rehabilitacyjny i chyba salon kosmetyczny. Także to było bardzo burzliwe małżeństwo, delikatnie mówiąc i tak się skończyło. Najciekawsze, że prawdopodobnie jedno i drugie zostało zamordowane. Ponieważ babka zginęła pod pociągiem w 1952 roku. I nie był to prawdopodobnie przypadek, aczkolwiek naturalnie nie było żadnego śledztwa i dowodu. A dziadek zginął też w tajemniczych oko-

licznościach, ponieważ został znaleziony już właściwie niemal nieżywy w jakimś tunelu metra w Londynie w 1955 roku. Gdy jechał na spotkanie w Polonię, chyba w Liverpoolu. I co dziwne, przy nim nie było żadnych dokumentów, nie było portfela, nie było pieniędzy. Jak można jechać do innego miasta bez czegoś? Mógł zostać teoretycznie okradziony po śmierci, ale tam w tych tunelach to jest ogromny ruch i trudno, żeby tak się złożyło, by akurat miał zawał i natychmiast ktoś go okradł.

A dziadkowie się rozwiedli, czy prowadzili po prostu odrębne życie?

To jest ciekawa historia. Oni się rozeszli, nie rozwodząc się. Ale dziadek miał, że tak powiem, długoletnią przyjaciółkę, młodszą od niego o 35 lat. I czy to było zamierzone, czy to była głupota UB, ale ją wypuszczono za granicę do Londynu. Ojciec uważał, że po to, żeby starszka skompromitować. On wtedy miał 68 czy ileś lat. Wówczas to był już starszek i wyglądał jak starszek. I ona trafiła do Londynu do niego, gdzie rzeczywiście go kompromitowała.

Ale za przyzwoleniem dziadka?

No tak. Pani, która próbowała robić doktorat z życia dziadka, twierdziła, że czytała ich korespondencję, która była pełna miłości i wzajemnego oddania. I dopiero po śmierci babki, która zmarła w 1952 roku, oni się tam pobrali. Ja tej pani nigdy nie poznałem. To był mój błąd, ona przecież jeszcze żyła, gdy ja po raz pierwszy trafiłem do Londynu. I tak się złożyło, że jej nie spotkałem.

A w którym roku rozstali się dziadkowie?

To na pewno stało się przed wybuchem drugiej wojny. Wiem, że jak dziadek w czasie okupacji ukrywał się pod Warszawą w okolicach Helenowa, to tam oni już byli wtedy razem. I o tym wiem z książki historycznej. Ukrywał się ze względu na to, że wcześniej był posłem, ministrem, liderem dużej partii i natychmiast byłby aresztowany. Jeśli nie rozstrzelany po prostu. Pod koniec lipca 1944 roku dziadek przedostał do Londynu. To była operacja „Most”. W Polsce trzy razy lądowały samoloty z Wielkiej Brytanii i chyba ostatni przyleciał po fragmenty rakiety V2, po dziadka oraz po kuriera Tadeusza Chciuk-Celta ps. Marek Celt.

I już później się dziadkowie nie widzieli?

Babka i dziadek nie. Babcia została tu, a on tam prowadził aktywne życie. A potem do niego dojechała sympatia. Tak, tak.

A w takim razie pana rodzice, zwłaszcza ojciec, nie wyjeżdżał za granicę?

Nie. Cały czas tutaj żył. Pozostał w Polsce i zmarł jakieś 20 lat temu. To też jest ciekawa historia, ponieważ rodzice uciekając przed UB schronili się w Gdańsku. Tam, jako geodeta ojciec założył przedsiębiorstwo geodezyjne, które przez parę lat się rozrosło do prawie 40 osób. Potem oczywiście zostało upaństwowione. Kierowca, który był partyjny, został dyrektorem, a ojciec dyrektorem technicznym. Potem nastąpiło aresztowanie i wysiedlenie rodziny.

W którym roku ojciec został aresztowany?

Ciąg dalszy na str. 6 ►

► To był chyba 1949.

Czyli nasilone represje stalinowskie?

Początki tych wielkich represji.

A ile przesiedział w więzieniu?

No, nie chcę skłamać, rzędu ośmiu miesięcy. W Warszawie, na Rakowieckiej.

Na Rakowieckiej?

Tak.

Wie Pan, że tam siedział przez pół roku mój Tato?

Nie, nie wiedziałem. No, to się wszystko składa. Takie zbliżone losy, prawda? Tak, tak. Ale ojciec nigdy nie był na przykład torturowany, ponieważ całą tą instytucją rządili oficerowie pochodzenia żydowskiego, którzy w przeciwieństwie do Polaków, rozumieli coś z historii i z sytuacji. Jeden z nich wręcz ojcu powiedział, zapamiętaj moje nazwisko, ja tutaj spowodowałem, że nie jesteś torturowany. Dlatego, że jeżeli twój ojciec tu wróci, to ja byłem tym dobrym UB-owcem. Także to wszystko jest bardzo skomplikowane.

Mogło też tak być, że był traktowany jakoś łagodniej niż Niezłomni, prawda?

Z zupełnie innej kategorii. Ojciec nie był przecież aktywny politycznie.

Chociaż miał fatalne pochodzenie. To już wystarczyło...

Chodziło o to pochodzenie. Wszystko sprowadzało się do tego, że szukano kontaktów pomiędzy ojcem a jego ojcem, dziadkiem, po to, żeby zrobić mu wielki publiczny proces, który wtedy wykorzystywano do celów propagandowych. Proszę, jacy to zbrodniarze, prawda? Gdy ojciec został zwolniony z więzienia, to dostali nakaz opuszczenia Gdańska w dwa tygodnie. Właściwie mieli tam jakiś dom i ten dom diabli wzięli. Wylądowali na Muranowie w Warszawie w takim małym mieszkanku. Ojciec dostał zakaz zajmowania stanowisk kierowniczych i na początku się meldował w UB co tydzień, potem co dwa tygodnie i coraz rzadziej, ale przez wiele lat co parę miesięcy wyrzucano go z pracy. To był taki mechanizm – ponieważ wtedy bardzo potrzebowano geodetów, więc gdy był wyrzucany, to znajdował sobie szybko inną pracę. Jednak to był rodzaj przesładowań, które zresztą ciągnęły się niemal do końca jego życia. Mam całą dokumentację rodzinną z IPN. Ojca szukało UB, oczywiście był donos, że tutaj się ukrywa czy przebywa syn premiera Arciszewskiego. Przeczytałem całą zaskakującą korespondencję pomiędzy centralnym UB, a tym w Gdańsku, co mają zrobić i tak dalej. No i tak

się skończyło, że po dwóch latach mojego życia, ja też opuściłem Gdańsk z nakazem.

Pamiętam na małej karteczce, którą zresztą jeszcze gdzieś mam, zezwolono nam na zabranie 4-5 jakichś mebli i rzeczy. I trafiliśmy na Muranów. No i szczęście w nieszczęściu, w sąsiednim domu mieszkał wujek Młynarski, z rodziny matki babki, który uczestniczył podobnie jak dziadek w tej słynnej, dowodzonej przez Józefa Piłsudskiego, akcji pod Bezdanami w 1908 roku. Kazimierz Młynarski, to też postać historyczna. On był w PPS bardzo aktywny w różnych akcjach bojowych. Ojciec od razu zaczął podejrzewać, że ten pan jako aktywny członek PPS-u automatycznie został wcielony do PZPR i dostał zadanie partyjne, żeby donosić na rodziców. Czyli to, że on akurat się znalazł w sąsiednim bloku...

Nie było przypadkowe?

Tak, przeniesiony z jakiejś tam innej części Warszawy.

I rzeczywiście te relacje były naznaczone taką nieufnością czy wręcz donosicielstwem? Coś się z czasem zmieniło?

No, przed śmiercią on ojcu wyznał.

Przyznał się?

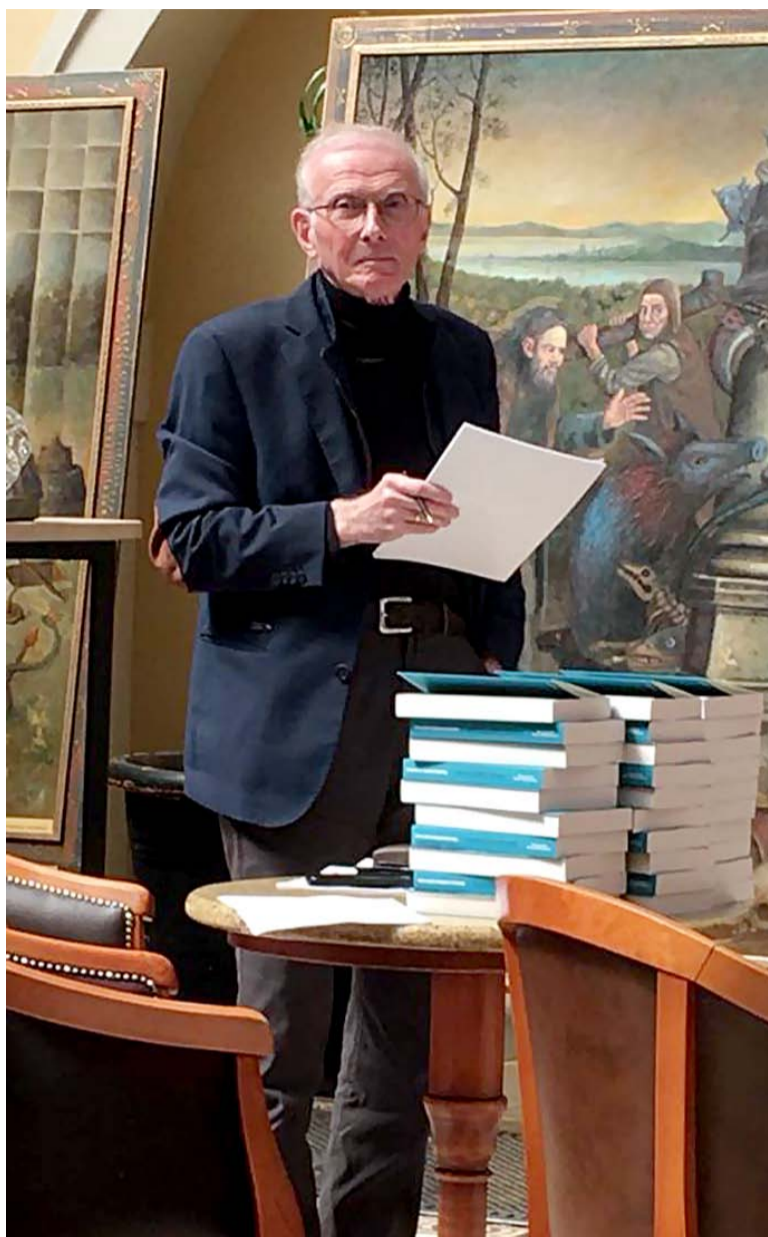
Tak, przyznał się. To jest przerażające. Ja jego pamiętam, wtedy byłem małym. Umierał straszną śmiercią, był palaczem i dostał raka płuc. Dusił się i się udusił. Pamiętam, że to trwało długo.

Czyli pan jako dwulatek przeprowadził się wraz z rodzicami do Warszawy i sporą część życia – szkoła, studia – spędził Pan w stolicy, tak?

Tak, wyjechałem z Polski dopiero w 1978 roku, po studiach, nawet po doktoracie. To było wszystko bardzo złożone. Chciałem wyjechać na staż do Szwajcarii, miałem pracę, szybko zrobiłem doktorat na Politechnice Warszawskiej, ale jak zrobiłem doktorat, miałem dwadzieścia parę lat. Ten mój wiek był wtedy absolutną rewelacją. Wtedy się robiło doktorat, jak się miało trzydzieści pięć, trzydzieści siedem lat.

Wkrótce po doktoracie na Politechnice poniekąd był pan zmuszony poszukiwać jakiegoś...

Zostałem praktycznie wyrzucony, w tym sensie, że nagle się okazało, że jest właśnie wprowadzony program dla młodych doktorów, program stażu w przemyśle i że ja mam za dwa tygodnie czy za trzy zacząć staż roczny w Mostostalu, tak mi powiedziano. Poszedłem do Mostostalu, przyjęto mnie z otwartymi ramionami, ale powiedziano, dostaliśmy poprzez Komitet Wojewódzki polecenie, żeby stworzyć dla pana etat i my rozumiemy, że pan do nas przy-



chodzi na stałe. No i wtedy się zorientowałem, że tu już nie ma dla mnie miejsca w Polsce i wyjechałem do Nigerii.

Naprzód Nigeria, ile lat Pan tam przebywał?

No, jakieś cztery i pół roku. Mieszkałem w małym miasteczku Nsuka, koło dużego miasta Enugu, na dużym uniwersytecie, który się nazywał University of Nigeria. Na południu kraju, na terenie plemienia Ibo. Nigeria była dla mnie wspaniała. Po tych różnych przejściach w Polsce, gdzie wprawdzie nie byłem bity ani aresztowany, ale moje życie składało się przecież z szeregu takich różnych nieprzyjemnych niespodzianek. I w tej Nigerii po pewnym czasie zostałem potraktowany dosłownie po królewsku. To było zdumiewające. A przed wyjazdem zostałem tak zwanym wodzem nigerijskim, chiefem, studenci mnie wybrali z sympatii.

Niesłychane. A co Pan tam wykładał? Bo studiował Pan budownictwo?

Skończyłem w Polsce z wyróżnieniem budownictwo, teorię konstrukcji. I tego nauczałem w Nigerii przez 4 i pół roku. Ale tak naprawdę moje prawdziwe zdolności były gdzie indziej, właśnie w tym obszarze na pograniczu różnych nauk.

No tak, teraz się to w panu odzywa i realizuje. Ale wracając do Nigerii...

Po kilku latach pobytu w Nigerii trafiliśmy z żoną do Włoch, gdzie spędziliśmy pół roku w obozie dla uchodźców. To był już okres stanu wojennego. Nam się po prostu skończyły paszporty i trzeba było w końcu podjąć decyzję co dalej. Wtedy nie wyglądało tak, że Polska będzie w przyszłości... No nie, nikt w to nie wierzył, choć dziadek wierzył...

I mój ojciec Kornel Morawiecki też wierzył. Mówił mi, córeczko komuna to jest rzecz nielogiczna, nonsensowna. Nielogiczna i absurdalna, więc z czasem, raczej prędzej niż później...

No ale w Związku Radzieckim ta rzecz nielogiczna trwała dłużej, 70 lat? Tak.

Oni mają jeszcze straszliwą historię i mentalność. Rosjanie nigdy nie doświadczali wolności. Nie mają w sobie tego zewu wolności. W przeciwieństwie do Polaków, którzy mają go w takiej ilości, którą mogliby obdzielić innych. Z Włoch pan się przeniósł do Ameryki?

Tak, do Detroit. Tam był przyjaciel Andrzej Nowak, który mi ogromnie pomógł w tym sensie, że mnie sponsorował. A wcześniej ja miałem jeszcze taką sytuację. Rok wcześniej szukałem pracy podróżując po Stanach w czasie wakacji. I na jednej z uczelni, właśnie Wayne State University zaproponowano mi pracę. I ja zasadniczo jechałem do pracy, ale w trakcie rozpoczął się ogromny

kryzys ekonomiczny. Szczególnie w przemyśle samochodowym. I to moje domniemane stanowisko się rozplynęło. Ale jak przyjechałem do Stanów, to ta uczelnia i ten zakład budownictwa mnie przyjął jako takiego wykładowcę dochodzącego. Nie najgorzej mi płacili, jak na te warunki.

Pozwalało to Panu się utrzymać?

No, nie do końca. Szczęśliwie mieliśmy oszczędności z Nigerii. Oboje z żoną pracowaliśmy. Małżonka wycierpiała się dużo ze mną, podróżując po świecie. Ja miałem zawsze takie różne szalone pomysły...

A Państwo mają dzieci?

Tak, mamy dwie córki. Jedna urodziła się jeszcze w Polsce, a druga już w Stanach. Obie żyją w Stanach i traktują Polskę podobnie jak Słowację czy jakieś inne kraje.

Mówią po polsku?

Tak. Starsza mówi znakomicie, młodsza niestety z trudem. Starsza przyjeżdżała tutaj do Polski na jakieś letnie studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Miała półtora miesięczny kurs dla dzieci z Polonii, z całego świata. Troszeczkę historii, literatury, język, gramatyka.

Wnuków Państwo się już doczekali?

Młodsza córka ma dwoje dzieci. Są pełne dynamiki. Chłopak i dziewczyna. Starsza wnuczka miała chyba przez dwa czy trzy lata taką całodniową opiekunkę z Polski. No to mogła się oswoić, osłuchać z językiem. A potem chyba się córka zorientowała, że to dziecko zbyt emocjonalnie się wiąże z osobą obcą i prawdopodobnie wtedy to się skończyło. Aczkolwiek ta pani nadal tam, zdaje się, okazjonalnie przychodzi. Jednak wnuk nie miał już żadnej styczności z językiem polskim. Ich tato jest Amerykaninem, pracuje jako neurochirurg. Obydwoje bardzo dobrze sobie radzą zawodowo. Mieszkają na Manhattanie, na piątej Avenue, aczkolwiek w Harlemie na końcu. Ale jak na warunki nowojorskie, znakomicie.

Tylko jednak to się sprawdza w taki przesmutny sposób, że nawet pomimo wielu starań rodziców, żeby utrzymać tę polskość w kolejnym pokoleniu, tak naprawdę jest praktycznie mało realne, żeby to się dało uchronić.

Tak, ale w tym jest jakaś głębsza też prawda, ponieważ jeżeli ktoś świadomie ze względów politycznych wyjeżdża za granicę, to nie po to, żeby stwarzać fikcję Polski w rodzinie, w zupełnie obcych warunkach i w ten sposób jakoś ograniczać możliwości życiowe i powodować wewnętrzne konflikty u dzieci. ►



► **A mnie się wydaje, że pielęgnowanie polskiej kultury, języka, historii, poszerza możliwości dzieci. Pozbawiając je tego, w efekcie zubażamy ich życie o coś niesłychanie ważnego. Odcinamy od bardzo cennych korzeni tożsamościowych. Ale to już jest na inną dyskusję.**

No możemy dyskutować, możemy rozmawiać. Myśmy stwarzali możliwości korzystania z obu kultur i te dzieci świadomie dokonały wyboru.

Tylko czy to jest świadomy wybór? Jeśli jest się młodym, wzrasta w innym środowisku, to ten wybór jest zawężony.

Tak, ale ja mam też kolegę, który stworzył rygor polskości w domu. Oglądało się tylko polską telewizję, honorowało tylko polską kulturę.

Czyli przegięcie w drugą stronę?

Tak, żona go rzuciła, a następnie dzieci od niego odeszły. Doprowadził do rozbicia rodziny i jedna z tych córek wiele lat później nawet nie chce z nim rozmawiać, mówi mu, że stworzył piekło polskie dla niej. To są indywidualne wybory i to tak trudno przesądzać. Oczywiście ja sam twierdzę, że trzeba mieć globalne spojrzenie, różne kultury. Ja sam przecież byłem w dwudziestu paru krajach a pracowałem i żyłem w kilku krajach. Stworzyłem Global Center of Excellence in Computing w Ameryce. Oczywiście rozumiem ten wymiar wielokulturowy, nie mówiąc o tym, że to jest przecież zmiana kontekstu, zmiana spojrzenia. To jest podstawa kreatywności ludzkiej. Także ja znam teoretyczne tego zalety, ale w praktyce dzieci chcą być takie, jak inne dzieci.

W praktyce Amerykanie na tym korzystają. Drenują nam mózgi niestety.

Ależ oczywiście, że tak.

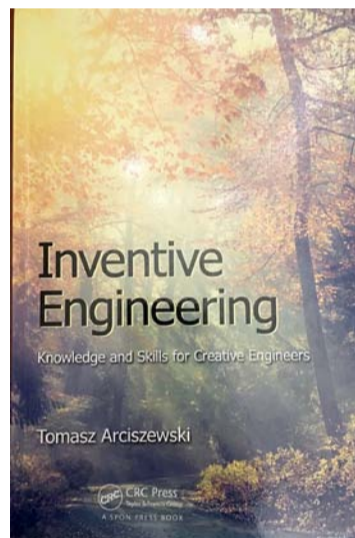
A proszę powiedzieć, jak Pan znajduje teraz Polskę i czy są ewentualnie jakieś obszary, w których chciałby Pan coś od siebie dać Polsce w tej chwili?

Ja w tej chwili widzę na podstawie mojego doświadczenia, że Polska jest obecnie w pułapce średnich zarobków. Ja o tym mówię od kilkunastu lat. I teraz ludzie zaczynają już troszeczkę słuchać. Ja mam zresztą cały wykład na ten temat. Na przykład nasze wyobrażenia o Azji są całkowicie fałszywe. Jeżeli chodzi o konkurencję, to Polska nie ma szansy wygrać, ponieważ w Azji się wielokrotnie ciężiej i więcej pracuje. I uczelnie, te najlepsze w Azji, w Chinach, czy na Tajwanie, czy w Singapurze, moim zdaniem są znacznie lepsze niż polskie. I z tego punktu widzenia jedyną szansą dla Polski jest przejść proces transfor-

macji polegający na tym, że albo się skupimy na obniżaniu kosztów robocizny w Polsce, czyli będziemy obniżali stopę życiową, co jest prawie nie do przyjęcia, albo zaczniemy myśleć kreatywnie, jak uczynić Polskę krajem innowacji.

Przeciekawe, co Pan mówi.

Ale to nie jest nowe, to było chyba 15 lat temu. Ja wtedy współpracowałem z Krajową Izbą Gospodarczą i zrobiliśmy program Polska Innowacyjna. Stworzyliśmy całą koncepcję. Przecież to nie wystarczy powiedzieć, robimy innowacje, czyli stwarzamy centrum innowacji, wystawiamy budynek, dyrektor, sekretarki, samochody, pokoje do wynajęcia. To jest bzdura, bo to trzeba stworzyć systemowo całe środowisko, zmienić kulturę, zmienić bohaterów w świadomości ludzi. Kiedyś był bohater powstaniec. Teraz bohaterem powinien być albo przedsiębiorca, albo inno-



wator. Czyli programy telewizyjne, system wartości, odpowiednie szkolenie już od poziomu dzieci. Dlatego w dużej mierze współpracuję z Towarzystwem Przyjaciół Dzieci. To jest zresztą organizacja założona przez mojego dziadka wspólnie ze Stefaną Sempołowską ponad 100 lat temu. To się tak jakoś dziwnie wszystko składa.

Tak, niesamowicie się splata.

Wie pani, ja miałem bardzo aktywną i stosunkowo wysoką pozycję, jeżeli nie bardzo wysoką, w Amerykańskim Związku Inżynierów Budownictwa. To jest ogromna organizacja, 250 tysięcy członków, jeżeli nie więcej. I w ramach tej organizacji stworzyłem globalny ośrodek doskonałości w zakresie zastosowań komputerów, gdzie przygotowywaliśmy materiały szkoleniowe, które potem na całym świecie były wykorzystywane. Statystyka mówi, że chyba 24 kraje.

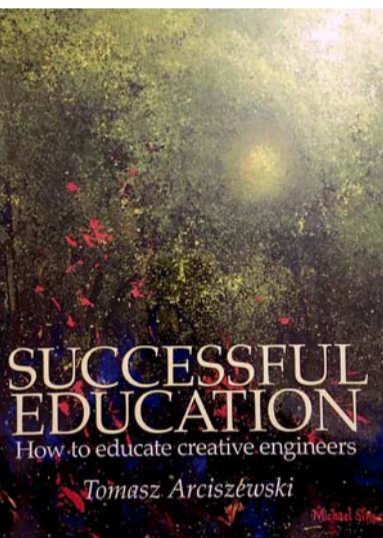
Mogę tylko westchnąć, że to Ameryka a nie Polska wzbogaca się takim umysłem jak pan. Ale wszystko mogłoby być zupełnie inaczej, gdyby nie komuna.

Ależ oczywiście, że tak. To nie było nasze państwo. Całkowicie

się zgadzam. To chyba pani ojciec o tym mówił.

Tak, podkreślał, że z tą władzą nie należy rozmawiać, tylko trzeba ją pozbawić władzy. Bo jest obca, opresyjna i przez nią nasza Ojczyzna nie rozwijała się a karleje. Widać przecież jak niewiarygodnie dużo straciliśmy potencjału. Także ze względu na utratę szans wykorzystywania w społeczeństwie i w państwie takich ludzi jak Pan.

Wszystko to jest prawda. Ja swoją rolę w pewnym sensie odegrałem jako prezes Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polski, gdzie moim zastępcą był Jan Nowak-Jeziorański, który potem tu wrócił z wielkimi honorami. To była organizacja, która w pewnym momencie odegrała też rolę w Polsce poprzez transfer wiedzy. Myśmy wtedy mieli bliską współpracę z Onyszkiewiczem, z którym się spotkałem, potem



jego najbliższy doradca Przemysław Grudziński do nas przyjechał. Stworzyliśmy w USA taką elitarną organizację i już za moich rządów wydaliśmy książkę, podstawy demokracji, świadomie zaprojektowaną jako taki tymczasowy podręcznik do przeszkolenia oficerów w Wojsku Polskim. I to rzeczywiście było wykorzystywane. Poszczególni członkowie naszej organizacji napisali różne rozdziały, na przykład na temat prawa konstytucyjnego, na temat wyborów i innych fundamentalnych kwestii.

A wracając jeszcze do pana obecności w Polsce dzisiaj, mógłby Pan jeszcze coś na ten temat powiedzieć?

Wie pani, moją misją jest przekonać – używam takich wielkich słów – przekonać społeczeństwo, że trzeba zacząć proces transformacji od wykonawcy do twórcy. Jeżeli Polska nie przemieni się w kraj innowacyjny, to w najlepszym wypadku obecna sytuacja ekonomiczna zostanie zamrożona. W najgorszym, to doprowadzi do bardzo złej sytuacji. I praktycznie Polska nie ma wyboru. Ale jeżeli mówimy o innowacyjności, to chodzi o przekształcenia o charakterze społecznym, intelektualnym, zmianę kultury społeczeństwa. I co naj-

ważniejsze, kształcenia. Bo tutaj nie chodzi o inżynierów w tym przypadku, tylko ogólnie o profesjonalistów.

Polska musi odnieść sukces. Cokolwiek jest rozumiane pod tym pojęciem. Tutaj w tej książce jest też o tym mowa: *Successful education*. Główną jej tezą jest to, że nie po to kształcimy ludzi, żeby nauczyć ich historii na przykład Grecji, czy Turcji, tylko po to, żeby ci ludzie w swoim życiu osiągnęli sukces, czyli osiągnęli zamierzone cele. I to wtedy będzie sukces na poziomie poszczególnych ludzi i na poziomie społeczeństwa. A żeby osiągnąć te swoje cele, to wiedza o charakterze pragmatycznym i analitycznym zwyczajnie nie wystarczy. Przydaje się teoria inteligencji sukcesu. Sukces to jest pojęcie względne, definiowane przez każdego. Ale jeżeli pani założy, że chce zostać na przykład kierowcą wyczołowym, to dla pani ten sukces będzie polegał na tym, żeby zdobyć licencję. Tak jak ja próbowałem to zrobić niedawno. Myślałem, że stanę się kierowcą zawodowym. I mam do pewnego stopnia kwalifikacje, ale nie mam talentu i jestem zbyt ostrożny. Tak że tego sukcesu nie odniosłem, ale to ja tak mówię, pół żartem, pół serio, ponieważ oczywiście wiedziałem, że kariery kierowcy wyczołowego nie zaczyna się w wieku 70 paru lat. Chociaż mam dobry refleks. I z tego punktu widzenia trzeba wyrobić zupełnie inne myślenie. W komunizmie, w PRL prywatna inicjatywa była rozumiana społecznie jak coś bardzo bliskiego przestępczości. A tutaj trzeba to zmienić. Trzeba zmienić całą kulturę społeczeństwa, zmienić priorytety, zmienić hierarchię wartości, zmienić poprzez edukację.

Ciekawe. Ja prawdopodobnie musiałabym długo jeszcze rozmawiać i parę książek Pana przeczytać, żeby mieć takie szersze spojrzenie Pana oczami na to wszystko. Jednak z mojej perspektywy widzę, że obecnie w Polsce zwłaszcza młodych ludzi charakteryzuje duże dążenie do sukcesu, za to nikłe zrozumienie tego, że ten sukces nie może dotyczyć wyłącznie każdego z nich indywidualnie. I to jest rzecz, która też bardzo szkodzi społeczności polskiej, wybujała indywidualizm.

Wynikający z historii w dużej mierze. Ale wróćmy do tej głównej myśli. Teraz istnieje teoria inteligencji sukcesu, polegająca na tym, że nie wystarczy posiadać inteligencję praktyczną, umiejętność rozwiązywania prostych, codziennie-życiowych problemów. Nie wystarczy inteligencja analityczna, ta, którą uczymy masowo w Polsce, ale też na świecie ogólnie. Jeszcze jest potrzebna tak zwana inteligencja kreatywna, rozwiązywanie problemów kreatywnych, których nie rozwiążemy metodami analitycznymi, ale musimy rozwią-

zać metodami abdukcyjnymi. Generowanie pomysłów, a nie wykorzystywanie pomysłów. I dopiero odpowiednio wyważona kombinacja tych trzech elementów daje nam szansę na sukces. A co my robimy? My uczymy inteligencji praktycznej, inteligencji analitycznej i praktycznie nie mówimy ani słowa o tym trzecim komponencie, o tej trzeciej nodze u stołu. Innymi słowy, nie ma szansy na osiągnięcie sukcesu, jeżeli nasz trzynożny stółek ma tylko dwie nogi.

Tak, to oczywiste, choć ja mam czasem wrażenie, że nam nie tyle brakuje twórczości, świeżości, pomysłowości i inwencji, co brakuje mechanizmów systemowych, które by potrafiły te pomysły wdrażać.

Ponieważ tego trzeba nauczać. Istnieje taka nauka, ja nazywam ją inżynierią przedsiębiorczości. Tak naprawdę można powiedzieć, że istnieje łańcuch wiedzy. To wszystko się sprowadza do wiedzy i można stworzyć modele i tego wszystkiego nauczać. Mamy właściwie łańcuch od nauki, gdzie są odkrywane nowe prawa, na przykład przyrody. Następnie mówimy o transformacji tej ogólnej wiedzy naukowej w wiedzę związaną z wynalazczością. Transformacja. Z wiedzy naukowej są tworzone wynalazki, a następnie kolejny etap, to jest wykorzystanie tej wiedzy, która jest zawarta w wynalazkach, do przekształcenia tych wynalazków w produkty rynkowe. I tutaj najpierw mamy naukę jako taką, potem mamy inżynierię wynalazczości. Tę naukę, która produkuje wynalazki i potem mamy inżynierię przedsiębiorczości, przekształcanie wynalazków w przedsiębiorstwa i ostatecznie w produkcję rynkową. I jeżeli mamy taki duży obraz, no to wtedy wszystko staje się proste, jeśli to jest proces zbudowany w oparciu o wiedzę.

Kompletny proces.

Kompletny proces, wtedy można zrozumieć te poszczególne etapy i połączyć je w całość. I z pewnością jest tutaj potrzebne współdziałanie i instytucji edukacyjnych i państwa jako takiego, które mogłoby wspierać na przykład seriale na temat wynalazców albo seriale na temat przedsiębiorców. My stworzyliśmy cały system centrów, które by oferowały edukację na różnym poziomie i odpowiednie programy akademickie. I myśmy to tak ustawili, że jest jedna specjalność inżynier-wynalazca, druga inżynier-przedsiębiorca i jeszcze trzecia inżynier-wdrożeniowiec. Myślimy o stworzeniu tutaj odpowiednich programów. Tego w postaci dojrzałej nie ma nawet w Stanach, aczkolwiek występują elementy, szczególnie w zakresie inżynierii przedsiębiorczości.

Oby się zatem udało. Najserdeczniej dziękuję Panu za rozmowę.

Polacy wybierają prezydenta Stanom Zjednoczonym



Waldemar Żyszkiewicz
ZANIM WYŁĄCZA PRĄD

■ Wyjaśniam, że mam tutaj na myśli patriotycznie usposobionych rodaków w Kraju, a nie amerykańską Polonię mieszkającą i realnie biorącą udział w wyborach w USA, toteż czasownika „wybierać” nie należy rozumieć dosłownie, lecz metaforycznie.

Wygląda na to, że jedynym istotnym kryterium, brany u nas pod uwagę przy ocenie kandydata na kolejnego gospodarza Białego Domu, pozostaje deklarowany przez niego stosunek do kontynuacji wojny o Ukrainę. W związku z tym nie ma zbyt wielkiego wyboru, bo w zasadzie tylko administracja urzędującego obecnie Josepha Bidena twardo obstaje przy kontynuacji działań zbrojnych na terytorium Ukrainy choćby do greckich kalend. Niepowątpiewalne zwycięstwo nad Rosją Putina, aż do całkowitego upadku państwa rosyjskiego, a może wręcz jego rozpadu, przy jednoczesnym odzyskaniu przez Ukrainę pełnej kontroli nad całym swoim terytorium. Plan mini-max, czyli imponująca wizja, ale – sądząc choćby po dotychczasowych postępach słynnej kontrofensywy, trochę według słów starej piosenki „szag w pieriod i szag nazad” – bez wielkich perspektyw na realizację.

Amerykanie, zmęczeni własnymi problemami gospodarczymi oraz społecznymi na co dzień, entuzjazmu dla planów ogromnego zaangażowania USA na Ukrainie przejawiają coraz mniej. I jeśli nawet niektórzy z biorących udział w prawyborach kandydatów republikańskich osobście skłanialiby się do kontynuacji tej wojny, jako rodzaju wysoce opłacalnego przedsięwzięcia (tak się w trybie sugestii mówi nie raz o gubernatorze Florydy Ronie DeSantisie), to jednak wszyscy oni chcący realnie powalczyć o partyjną nominację, muszą brać pod uwagę nastroje, sympatie i preferencje społeczne. Stany Zjednoczone są nadal, wprawdzie nadgryzana przez Deep State oraz Deep Finance, więc kulejącą i ułomną, ale jednak demokracją.

Trzydziestu Czerwonych, troje Niebieskich

Do tej pory swoją chęć startu w prawyborach Partii Republikańskiej formalnie zgłosiło trzydziestu kandydatów, w tym Nikki Haley, była ambasador USA przy ONZ w czasie kadencji Trumpa. Spośród nich, aktywną kampanię prowadzą już były prezydent Trump, ambasador Haley oraz dwaj przedsiębiorcy Vivek Ramaswamy i Perry Johnson. Zaskakująco słabą aktywność przejawia Ron DeSantis, ale do wieców poparcia i prawyborów, które



Vivek Ramaswamy

startują dopiero w połowie stycznia, zostało jeszcze trochę czasu. Oczywiście, bo to przecież Ameryka, poważne zamiary i zainteresowanie udziałem w prawyborach deklaruje jeszcze dziewięć innych osób, a liczba potencjalnych kandydatów, które raczej już definitywnie upadły, jest co najmniej dwa razy dłuższa.

Ciekawe, że aż trzech pretendentów republikańskich startuje z Florydy: obok zamieszkałego tam eksprezydenta Trumpa oraz gubernatora stanu DeSantis, chęć startu zgłosił też Francis Suarez, burmistrz Miami. Ani wiceprezydent Mike Pence z czasów pierwszej kadencji Trumpa, ani Asa Hutchinson z ekipy George'a Walkera Busha raczej nie będą stanowić zbyt groźnej konkurencji. Oprócz ubiegającego się o reelekcję (po jednokadencyjnej przerwie) Trumpa, szanse na zwycięstwo w prawyborach u Republikanów wydają się mieć Vivek Ramaswamy, Tamil z korzeniami bramińskimi urodzony w Cincinnati, w stanie Ohio, oraz wspomniany już Ron

DeSantis. Ewentualnie jeszcze pani Nikki Haley.

Z kolei w Partii Demokratycznej mnogości oficjalnych kandydatów republikańskich odpowiada jedynie lista blisko trzydziestu przymiarek do kandydowania, które jednak z zastanawiających względów upadły. Z zastanawiających, bo idzie o tzw. osoby poważne, a co istotniejsze, nader ambitne: jak mocno utrwalona w pamięci pierwsza dama Hilary Clinton, Jamie Dimon, miliarder i szef banku JP Morgan Chase, druga pierwsza dama Michelle Obama czy wreszcie socjalizujący polityk, znany z memów senator z Vermont, Bernie Sanders... Nie mówiąc już o całej gromadzie prawników, bo liberalno-lewicowi „demokraci” wszędzie w świecie dochodzą do instytucjonalnej potęgi poprzez ponadstandardowe regulacje prawne, którymi pragną (nieco na siłę) zmieniać postać świata.

Natomiast oficjalnych kandydatów do prawyborów w Partii Demokratycznej jest zaledwie troje: oprócz urzędującego

prezydenta, Marianne Williamson, wychowana w duchu konserwatywnego judaizmu pastorka paru nieortodoksyjnych Kościołów, duchowa nauczycielka, autorka książek, wreszcie polityczka, oraz Robert F. Kennedy Jr., syn zamordowanego prokuratora generalnego USA Roberta Kennedy'ego i bratanek zamordowanego prezydenta Johna Fitzgeralda Kennedy'ego. O dwanaście lat młodszy od Bidena Robert Kennedy Junior, prawnik specjalizujący się w problematyce ochrony środowiska przed systemowymi skażeniami, założył stowarzyszenie Children's Health Defense (Obrona Zdrowia Dzieci), stawiające sobie za cel ochronę przyszłego pokolenia Amerykanów przed autyzmem i chorobami autoimmunologicznymi powodowanymi przez skażenie środowiska oraz masowe szczepienia, z użyciem wielowektorowych preparatów konserwowanych rtęcią.

Prozdrowotnościowa, godząca w podstawy systemu, jak i filozofii lecznictwa w Stanach Zjednoczonych postawa RFK Junio-

ra (przejawił ją zwłaszcza w czasie tzw. pandemii CoViD-19, czyli podczas fali wywołanych sfabrykowanym w laboratoriach wirusem i nieleczonych należycie grypopodobnych infekcji!) sprawiła, że angielskojęzyczna Wikipedia usiłuje dyskredytować go jako propagatora antynaukowych teorii oraz nagannych praktyk, ale w rzeczywistości to właśnie on będzie jedynym realnie antysystemowym kandydatem Demokratów w najbliższych prawyborach. Wychodzi więc na to, że funkcjonariusze Głębokiego Państwa oraz Głębokich Finansów przesądziła już, kto ma reprezentować Partię Demokratyczną w wyścigu do Białego Domu, natomiast mentorka i pisarka Williamson, świadomie lub nie, ma tylko ułatwić zachowanie pozorów feminizującego demokracji. To mogłoby wyjaśniać, dlaczego słynna Hilary Clinton zapomniała o swych przemożnych ambicjach, a dwa lata młodszy od Kennedy'ego Jamie Dimon stracił wiarę w moc swoich miliardów. ▶



► Chroniony wizerunek Josepha Bidena

Skoro to Biden ma wygrać przedbiegi u Niebieskich, a znany już duet Biden/Harris ponownie znaleźć się w Gabinetcie Ovalnym, to znaczy, że partia wojny w Departamencie Stanu dostanie zielone światło dla swych działań, toteż zmagania o Ukrainę będą kontynuowane. Kennedy wygrać nie może, bo jest przeciwko tej wojnie, którą uznaje zresztą za rezultat niepotrzebnego prowokowania przez USA Federacji Rosyjskiej. Uważa on, że Rosja długo obserwowała zbliżanie się swoistego Lasu Birnamskiego, jakim musiał być dla Kremla proces rozszerzania NATO o kolejne kraje Europy Środkowoschodniej, ale już próbę wciągnięcia tam również Ukrainy uznała za przekroczenie cienkiej czerwonej linii i... po swojemu zareagowała. Kandydaci republikańscy, z Trumpem na czele, również optują za znalezieniem sensownego wyjścia z tej groźnej dla Europy i świata, a kosztownej dla Amerykanów „operacji ukraińskiej”.

Warto tu może przypomnieć, że blisko dekadę temu tandem Jurij Felsztinski / Michał Stanczew opublikował książkę wieszczącą III wojnę światową. Tytuł oryginału brzmiał: *Trzecia Mirowaja: Bitwa za Ukrainu* (2014). W Polsce nieco prowokacyjny tytuł zmiekkczono, przy frazie „Trzecia wojna światowa” dodając znak zapytania (2015). Uniesiony trafnością przewidywań swoich wcześniejszych książek: *Wysadzić Rosję i Korporacja zabójców*, w przedmowie do *Trzeciej Światowej: Bitwa o Ukrainę* Felsztinski podał dwa terminy wybuchu globalnego konfliktu. Pierwszy, w momencie ukazania się książki w Polsce miał się ziścić tuż, tuż... Szczęśliwie obyło się bez kataklizmu, bo wtedy prezydentem Ukrainy nie był jeszcze Wołodymyr Zełeński. Drugi termin opiewał na wrze-

sień roku 2020. Roszczenia retoryka obecnego prezydenta, jak choćby podczas niedawnego szczytu NATO w Wilnie, ale również wypowiedzi innych prominentnych postaci z jego ekipy muszą zastanawiać. Dodam tylko, że wspomnianą wyżej przedmowę do książki, której jest współautorem, Jurij Felsztinski (oryg. Fielsztinskij) napisał w roku 2014 w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszka od końca lat 70.

Nic dziwnego, że dla Polaków uwiedzionych stuletnim conceptem Giedroycia oraz mirażami obecnej propagandy wojennej, według której nasi wygrywają, bo są bezwarunkowo dobrzy, natomiast wróg musi przegrać, bo jest skrajnie zły, jedynym właściwym prezydentem USA w kadencji 2025–2029 może być tylko „Joe Biden”. I to bez względu na to, co już o samym Bidenie, a także o rodzinie Bidenów wiemy. Dyrektorskie honoraria Huntera w Burismie – nieważne. Osławiony laptop Huntera – nieważny. Sygnaliści z FBI mówiący o głębokim skorumpowaniu klanu Bidenów przez Ukraińców, ale też i Chińczyków – wszystko to bez znaczenia. Nawet ręczne sterowanie Federalnym Biurem Śledczym (FBI) przez administrację Bidena dla neutralizacji politycznych wrogów – a kogo to obchodzi? Z pewnością nie media głównego nurtu pozostające w dyspozycji superbogactw globalistów. Owszem, podnosił te sprawy Tucker Carlson w swoim codziennym programie, ale już go w telewizji Ruperta Murdocha nie ma... Natomiast o gafach POTUSA takich jak potknięcia językowe, fizyczne upadki czy niezręczne straszenie przypadkowo spotkanego dziecka – nawet nie warto wspominać.

Niech żyją nasi sojusznicy: Amerykanie i ...

Jaskrawo sprzeczne wypowiedzi polityczne lidera imperium też nie

stanowią żadnego kłopotu: rzecznicy Białego Domu je zreinterpretują, spolegliwe media wygładzą, byle tylko nie niepokoić elektoratu. Za to w najważniejszej sprawie – nie masz jak Biden. Ten z wojny o Ukrainę z pewnością nie zrezygnuje... Bo czy mógłby inaczej?

Chyba nie tylko mnie zastanawia fakt, że osoba sprawująca władzę nieco zagubionej w codzienności może kierować sprawami Stanów Zjednoczonych, a pośrednio i sporej części świata. Zgoda, ma ekipę, ale ekipa, również ta wojownicza z Departamentu Stanu, jeśli nawet cele stawia sobie sama, to jednak ktoś musi je przecieć zaświadczając. Wywołanie konfliktu na skalę europejską, a tym bardziej światową – przekracza chyba kompetencje Jake'a Sullivana, Anthony'ego Blinkena czy Victorii Nuland. Apetyty to jedno, ale odpowiedzialność za decyzje to inna sprawa. Wojnę ktoś musi sfinansować (wprawdzie najczęściej spada to na barki podatników), ale na wojnie ktoś też musi zarabiać. Trochę już wiemy, kto stał za finansowaniem pierwszej i drugiej wielkiej wojny (i nie jest to wiedza przyjemna!), ale przecieć teraz zasadniczo nie może być inaczej. Tak już jest urządzony ten świat, że „kto ma mało, temu zabiorą i to, co ma, natomiast bogaczom będzie jeszcze dodane”.

Najciekawszym pretendentem do nominacji Partii Republikańskiej jest bodaj wspomniany wyżej Vivek Ramaswamy. Przedsiębiorca urodzony w Cincinnati, w rodzinie imigrantów z Indii, ma właśnie 37 lat (to bodaj egzystencjalne optimum ludzkiego wieku), a także bakalaureat z biologii na Harvardzie oraz doktorat z prawa na Uniwersytecie Yale. Po zainwestowaniu z sukcesem w fundusz hedgingowy, w roku 2014 założył firmę Roivant Sciences (z centralą w szwajcarskiej Bazylei), któ-

ra specjalizuje się w biotechnologii potrzebnej przy rozwoju i produkcji nowych leków. Pod koniec 2019 roku amerykański Tamil zainwestował 3 miliardy dolarów w japoński koncern farmaceutyczny Sumitomo, z siedzibą w Osace.

Żonaty z absolwentką medycyny (otolaryngologia), dwóch synów, wyznawca hinduizmu i wegetarianin, Ramaswamy jako rodowity Amerykanin w pierwszym pokoleniu, deklaruje przywiązanie do tradycji wolnościowych oraz klasycznego kapitalizmu, a zarazem pozostaje nieczuły na ideologiczne nowinki z zasobów marksizmu kulturowego. M.in. kwestionuje sens ruchu „przebudzonych” (woke, BLM), zarzuca hipokryzję menedżerom wielkich międzynarodowych firm inwestycyjnych takich jak BlackRock Inc. (aktywa rządu 10 bilionów dolarów, CEO Larry Fink) czy Vanguard (aktywa 8,1 biliona dolarów, CEO Mortimer J. Buckley), którzy bez jakiegokolwiek demokratycznego mandatu, obracając środkami swych udziałowców, kreują świat wrogi tradycyjnym wartościom własnych klientów.

Dlaczego Vivek jest złym kandydatem

Vivek Ramaswamy jest z pewnością człowiekiem sukcesu. Co ważne, wydaje się podzielać wartości ważne dla wszystkich, którym bliskie pozostają kategorie prawdy w procesie poznawania, sprawiedliwości w relacjach między ludźmi i państwami, prawa do ekspresji poglądów, czy wreszcie wolności religii oraz szacunku dla zasad uniwersalnych, sprawdzonych przez ludzkość w wielowiekowej praktyce. Tu raczej brak już miejsca na niewydarzone kaprysy ideologiczne... Inna sprawa, że wcale nie ma pewności, że Ameryka dojrzała, by wybrać na swego prezydenta konserwatywnego światopoglądowo wyznawcę

hinduizmu i wegetarianina. Ale z punktu widzenia mego znajomego, umysłu nader przenikliwego, w istocie naukowca – ten amerykański Tamil z Cincinnati ma tylko jedną, za to nieusuwalną wadę: uważa mianowicie, że należy jak najszybciej zakończyć wojnę na Ukrainie, nawet za cenę istotnych ustępstw terytorialnych wobec Rosji.

Ramaswamy krytykuje podczas kampanii DeSantisa, Trumpa nie rusza. Co więcej, zapowiedział już, że gdyby eksprezydenta mimo wszystko skazano, to on – jako gospodarz Białego Domu – zaraz by go ułaskawił. Znamienne, że oświadczył też, iż w razie uzyskania partyjnej nominacji wzięby na wiceprezydenta Roberta Kennedy'ego Juniora, co przynosząc głosy części wyborców Partii Demokratycznej, mogłoby odebrać zwycięstwo wyborcze globalistom i Bidenowi.

– No, ale wtedy Polska nie roslaby w siłę, jaką staje się dzięki tej wojnie – tłumaczy swe stanowisko znajomy, którego przecieć cenę i naprawdę lubię. Najwyraźniej jednak nie bierze on pod uwagę trzech poczynionych (i chyba nierealistycznych) założeń, które dla jasności przedstawię tu w formie trzech krótkich pytań. Czy prezydent Stanów Zjednoczonych ma realizować geopolityczny interes Rzeczypospolitej czy raczej własnego kraju? Czy Amerykanie powinni delegować do Białego Domu osobę, która będzie wspierała działania wojenne na Ukrainie nawet kosztem pomyślności własnego narodu? Czy wreszcie można zbudować potęgę państwową, zawieszając własną sprawczość i realizując bez jakichkolwiek zastrzeżeń zmienne nieraz z kadencji na kadencję i często niekoniecznie przejrzyste strategie imperium? Nawet imperium nominalnie zaprzyjaźnionego.

23 lipca 2023

Hiszpańska elekcja

DR HAB. ARTUR ŁAWNICZAK PROF. UWR

(dziękujący za pomoc w opracowaniu artykułu Monice Karaźniewicz)

■ W transpirenejskiej części Starego Kontynentu przeminęło kolejne „Święto Demokracji” w postaci ogólnoludowego głosowania do nazywanej Korteżami hiszpańskiej legislatury.

Ma ona bikameralną tożsamość, czyli dwuizbowy charakter, ponieważ mająca siedzibę w Madrycie władza ustawodawcza składa się z nazywanego według starożytnego etalonu Senatu (*Senado*), czyli zgromadzenia mądrzejszych – zakłada się – z racji wieku i uzyskanego wraz z nim doświadczenia 266 starych, oraz skupiającego młodszych parlamentarzystów Kongresu Deputowanych (*Congreso de los Diputados*), w którym zasiada 350 polityków. Podobnie jak w Naszym Kraju, obsadzanie przez wielomilionowy elek-

torat miejsc w szeregach dwuizbowej pierwszej władzy, odbywa się w znormatywizowany sposób co cztery lata. Nie jest to praktyka szczególnie godna pochwały, gdyż w pewnym stopniu zaciera ona sens dwuczęściowości władzy prawodawczej, skoro jej segmenty są wskutek aktualnego nastroju elektoratu w dużej mierze jednakowe w partyjnopolitycznym wymiarze. Jeśli już chcemy uprawiać dwuizbowość, to rozsądniejszym jej wariantem jest typowa dla Zachodniej Półkuli i stosowana również w Republice Czeskiej opcja, po-

legająca na częściowej wymianie składu osobowego Senatu podczas kolejnych elekcji, co pomaga w zróżnicowaniu politycznego wizerunku parlamentu w imię niezwykle modnej wszak w dzisiejszych czasach pluralizacji. Aktualna, ułomna również z wyżej wspomnianego powodu, wersja parlamentaryzmu w hiszpańskim oraz polskim wydaniu, przyczynia się do mnożenia problemów w obu krajach, skądinąd podobnych do siebie w dziejowym rozwoju (niegdysiejszy rozmach imperialny, a następnie duży upadek), co zaakcentował Lelewe-

w traktacie *Historyczna paralela Hiszpanii z Polską*.

Nasz transpirenejski, przynajmniej w tym porównaniu, odpowiednik kojarzy się raczej z monarchią absolutną, ale nie należy zapominać, że już w XII wieku, a zatem przed nachalnie nagłaśnianą przez Anglosasów Wielką Kartą Swobód Alfons IX sygnował Wielką Kartę Leonu, będącą jurydycznym fundamentem konstytucyjnego monarchizmu, w którym znalazło się miejsce dla stanowego parlamentaryzmu, gdzie panujący musiał się liczyć ze zdaniem poddanych,

przy czym podczas wybierania przez nich przedstawicieli do Korteżów niegorszą rolę odegrało losowanie, traktowane wszak przez Arystotelesa i Monteskiusza jako najdemokratyczniejszy sposób podejmowania decyzji. W Wielkiej Karcie czytamy, że „wszyscy biskupi oraz rycerze i mieszczanie” mają „utrzymać sprawiedliwość”, co świadczy o dojrzałości myślenia ówczesnej elity społeczno-politycznej Iberii pomimo tego, a może dzięki temu, że nie funkcjonowało

Ciąg dalszy na str. 10 ►

► tam ludowładztwo w jego dziesięcioletniej postaci. Sytuacja uległa za Pirenejami zmianie wówczas, gdy nastąpił „zawrót głowy od sukcesów” w postaci zaoceanicznych konkwist, skutkujących naruszeniem ekonomiczno-społeczno-politycznej równowagi nad Tagiem i Ebro, co spowodowało upadek.

Współcześnie Królestwo Hiszpanii, podobnie jak Rzeczpospolita, pogrążone jest w objęciach demoliberalizmu, przejawiającego się w notorycznie powtarzanych starciach o przychylną teoretyczną Zbiorowego Podmiotu Suwerenności. Są one sankcjonowane przez oficjalne autorytety tzw. Północnoatlantyckiej Cywilizacji sposobem ustalania porewolucyjnej *Volonté Générale* (Woli Powszechnej), której wskazaniom według obowiązującej Mądrości Etapu powinni być posłuszni sternicy państwowej nawy. Obowiązuje dogmat sformalizowanej konkurencyjności, oznaczający, że „każde stronnictwo nosi władzę polityczną w swych marzeniach”, które mogą być uskutecznione, jeśli uda się pozyskać poparcie wyborców, inkarnujących Naród.

W przypadku Hiszpanii wdrażanie tego schematu w prawopolityczną rzeczywistość było wyjątkowo dramatyczne, ponieważ niemal całe XIX stulecie przepełnione jest, niejednokrotnie zbrojną, rywalizacją między liberałami a konserwatystami. Ci pierwsi pragnęli, żeby „w Ojczyźnie było tak, jak w Europie” (*nota bene* Napoleon ponoć orzekł, że kończy się ona na Pirenejach), a dla drugich *Hispanidad* była wartością samą w sobie, którą należało chronić za wszelką cenę, „ażby nie rozmięknęła się na drobne w koncercie perfidnych mocarstw”. Niezwykle wyrazistą kontynuacją tego sporu w zmieniach przez XX wiek i I wojnę światową warunkach była, będąca poligonem przed kolejnym Wielkim Starciem w globalnych rozmiarach, wojna domowa, podczas której generalnie socjalistyczni republikanie zajęli miejsce liberałów, a ideowo zróżnicowani frankiści reakcyjnych prawników, pragnących „zatrzymać Parowóz Historii”. Na kilka dekad to się udało, ponieważ podczas dyktatury „spoglądającego dumnie w Słońce – wszak hymn *Cara al Sol* był muzycznym symbolem frankizmu – *Caudillo*” iberyjska monarchia bez króla stała się „zamrażarką Europy”, gdzie np. nasi antykomuniści na falach Radia Madryt wbrew „opinii rozsądnego świata” mogli nadawać swoje przesłania. Jednakże wszystko ma swój kres, co w danym przypadku oznacza, że po śmierci Wodza najwyższą władzę przejął przedstawiciel dynastii Burbonów w postaci Jana Karola, desygnowany przez naiwnego, jak się okazało, Franco, wierzącego, że jego wybraniec będzie kontynuował jego ostrożny względem globalnych koniunktur kurs, naznaczony przesłaniem *España es diferente* (Hiszpania jest inna).

Wszakże monarcha intensywnie marzył o bywaniu na europejskich salonach, co skończyło się „sprowadzeniem Ojczyzny Cyda do demoliberalnej średniej, polegającej na pogrążaniu kraju raz na parę lat w wyborczych konwulsjach”.

Według najnowszych informacji odnośnie rezultatów doszło do politycznego pata, ponieważ centralizująca Partia Ludowa (*Partido Popular*) wraz z bardziej umiarkowanym na pra-

go rozwoju, co sprawia, że dominuje w nich mentalność, nakażująca przesadnie wierzyć w wygłaszane podczas przedwyborczych oratorskich popisów przesłania i traktować parlamentarne elekcje jako „śmiertelnie poważny bój o losy politycznej wspólnoty”, podczas gdy w Wielkiej Brytanii świadomi ludzie od dawna zdają sobie sprawę z daleko posuniętej konwencjonalności „przedwyborczych przepychanek”, które nie powinny naruszać „głębo-

dużych bloków, gdyż mogą więc ugrać w atmosferze niejasności wynikającej z braku wyraźnej większości, kiedy to pojawiają się zwiększone możliwości lansowania partykularnych interesów.

W Senacie 120 miejsc zostało zajętych przez Partię Ludową, 73 przez PSOE, 7 przypadnie formacji Lewica za Niepodległością (*Izquierda por la Independencia*), 4 otrzymała Nacjonalistyczna Partia Basków, 1 postu-



wo ugrupowaniu Vox zdobyła 169 mandatów w niższej, ważniejszej w demofilnym ustroju, izbie ustawodawczej, natomiast dotychczas rządząca Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza (*Partido Socialista Obrero Español*), czyli PSOE wraz ze skrajnie lewicową koalicją Dodać (*Sumar*) uzyskała 153 fotele w Kongresie Deputowanych, podczas gdy osiągnięcie większości absolutnej wymaga zdobycia 176 mandatów. Oznacza to, że powszechne wotowanie zakończyło się nierozstrzygniętym rezultatem, ponieważ nie wiadomo, komu uda się sformować gabinet, aby sprawować wykonawczą, na co dzień najważniejszą władzę. Całkiem możliwe, że wkrótce dojdzie do rozpisania kolejnych parlamentarnych wyborów, których wynik niekoniecznie może się znacząco różnić od ostatnich.

Strategiczną przyczyną takiego stanu rzeczy, potwierdzoną przez doświadczenia Francji, Niemiec, Włoch, Polski, Litwy i paru innych państw, jest nieprzystawalność funkcjonującego całkiem skutecznie w „perfidnym Albionie” parlamentarno-gabinetowego systemu rządzenia do społeczno-kulturowo-politycznych warunków po naszej stronie Kanału La Manche. Hiszpania oraz inne kontynentalne państwowości mają inną od angielskiej drogę dziejowe-

ko przemyślanej istoty systemu”.

Na hiszpańskim gruncie nie bardzo zgadza się z owym przesłaniem stronnictwo Republikańska Lewica Katalonii (*Esquerra Republicana de Catalunya*), któremu udało się ponoć pozyskać 7 krzeseł w niższej izbie madryckiej legislatury. Według wstępnych wyników tyle samo mandatów przypadło w udziale formacji Razem dla Katalonii (*Junts per Catalunya*). Z kolei partia Jedność Kraju Basków (*Euskal Herria Bildu*) może wstępnie liczyć na 6 miejsc w Kongresie Deputowanych, a Nacjonalistyczna Partia Basków (*Eusko Alderdi Jeltzalea*) na 5. Jeden mandat przypadł w udziale Unii Ludowej Nawarry (*Unión del Pueblo Navarro*). Taki sam wynik osiągnęła Koalicja Kanaryjska (*Calición Canaria*), jak również Galicyjski Blok Nacjonalistyczny (*Bloque Nacionalista Galego*). Obecność tych politycznych bytów na parlamentarnej scenie będzie przypominać *urbi et orbi* o niejedności ojczyzny Cervantesa, mniej ewidentnej w czasach monarchicznego absolutyzmu lub frankizmu niż w okresie „intensywnego pochylenia się nad każdą mniejszością”. Katalońscy oraz baskijscy parlamentarzyści, pamiętając o kolejnych wyborach i perspektywie ewentualnej reelekcji raczej nie będą się specjalnie przejmować opcją zdecydowanego poparcia któregoś z dwóch

lujące niezależność tej z Wysp Kanaryjskich, która jest położona najbardziej na zachód Ugrupowanie na rzecz Niepodległości Hierro (*Agrupación Herreña Independiente*), 1 Ugrupowaniu Socjalistycznemu Gomery – inna z Wysp Kanaryjskich (*Agrupación Socialista Gomera*), 1 miejsce ma zająć ww. siła polityczna Razem dla Katalonii i nie inaczej ma być w przypadku Unii Ludu Nawarry (*Unión del Pueblo Navarro*). Z tego wyliczenia wynika, że, podobnie jak u nas, polityczna konfiguracja w Senacie nie odróżnia się zasadniczo od tej, jaka tworzy się po wyborach w niższej izbie legislatury. Warto wszakże dodać, że tym, co odróżnia hiszpańską senackość od naszej jest rozwiązanie, polegające na wysyłaniu do izby refleksji przedstawicieli przez władze 17 wspólnot autonomicznych, co w pewnej mierze relatywizuje brak większych różnic między politycznymi pejzażami dwóch części władzy ustawodawczej.

Nie była to pierwsza i zapewne nie ostatnia powszechna elekcja między Pirenejami a Gibraltarem. Ponieważ Hiszpania jest dość typową w naszych czasach na Starym Kontynencie monarchią, to w imię przesłania taniego państwa jej mieszkańcy nie muszą się kłopotać prezydencką elekcją, natomiast pomału mogą już się szykować na kolejne regu-

larne lub przedwczesne głosowanie na kandydatów do legislatury. Dotychczasowe doświadczenia tego rodzaju po liberalizacji reżimu wskutek śmierci „Bohaterskiego Pogromcy Czerwonej Hydry” wskazują na to, że zasadnicza tendencja „głębokiego okopywania się na jedynie słusznych demoliberalnych pozycjach” jawi się jako trudna do odwrócenia, niezależnie od przejściowych rozgrywek między lewicą a prawicą. Zresztą pojęcie te są coraz bardziej względne, ponieważ mamy do czynienia z ogólnoeuropejskim zjawiskiem „uciekania od lewoprawych skrajności w stronę Skrajnego Środka” (nie zaszkodzi przypomnieć, że u nas po wyborach do Sejmu w 1991 r. 15 z 17 sejmowych ugrupowań koniecznie chciało zasiadać w centrum sali plenarnych posiedzeń). Ów zastanawiający trend sprawia, że z jednej strony nie liczą się już jako polityczna potencjał komunisty, a z drugiej karliści, kwestionujący, podobnie jak wyznawcy Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina, choć naturalnie z zupełnie odmiennych pozycji, legitymizm oraz sensowność funkcjonującej postaci państwowości. Partyzanci infanty Don Carlosa oraz jego potomstwa negują prawidłowość dzisiejszej zdemokratyzowanej monarchii, ale „ich nieliczne głosy giną w medialnej wrzawie wściekłego populizmu”.

A zatem nie należy liczyć na to, że Partia Ludowa po zawarciu jakiegoś sprytnego aliansu lub ewentualnym zdecydowanym wygraniu następnej parlamentarnej elekcji doprowadzi do jakichś zasadniczych zmian w największym państwie Półwyspu Iberyjskiego. Wszak sprawowała już ona władzę wykonawczą za Aznara i Rajoy. Po wyborach w 2011 r. pod przywództwem tego drugiego stronnictwo, które znamienne wystąpiło już z Międzynarodówki Konserwatywnej, rozsiadło się na 186 siedziszczach w Kongresie Deputowanych, co nie przełożyło się bynajmniej na jakiś radykalny zwrot w wewnętrznej lub zagranicznej polityce, natomiast ww. przywódca został usunięty ze stanowiska premiera wskutek korupcyjnego skandalu.

Aktualnemu przywódcy stronnictwa, jakim jest raczej pozbawiony charyzmy Albert Núñez Feijóo, rzecz jasna można życzyć powodzenia, ale nie wygląda on na męża stanu, który mógłby w radykalny sposób odmienić losy swojego kraju. Aby choć w części nawiązać do jego niegdyś wielkości, przebrzmiałej wraz ze Złotym Wiekiem jak sen z dramatu Calderóna de la Barki, którego akcja rozgrywa się w Rzeczypospolitej, czekającej z większą lub mniejszą niecierpliwością na swoje parlamentarne rozstrzygnięcia, po których też nie należy oczekiwać jakiegoś dramatycznego przełomu.

MARTYNA RUBIK



Stanisław Srokowski
MŁODE TALENTY

Publikowaliśmy już pierwsze opowiadanie Martyzny „Lot”. Pisaliśmy wtedy, że to laureatka naszego wyróżnienia w konkursie literackim w dziedzinie prozy. Wykazuje się sprawną organizacją tekstu, umie obserwować rzeczywistość i ciekawie ją opisywać. Jej opowiadania wskazują na interesującą wyobraźnię i dociekliwy umysł. Nowe opowiadanie potwierdza nasze opinie. Martyna odznacza się nie tylko żywą wyobraźnią, ale i dużą wrażliwością. Liczymy na rozwój jej młodego talentu. Czekamy na nowe teksty.

NUMER 5375

Moja świętej pamięci babcia, nauczycielka, cudowna kobieta o sercu otwartym na potrzeby każdego człowieka, potrafiła dzielić się z innymi wszystkim, co sama uważała za ważne i potrzebne do przezwyciężania trudów życia. Szczególnie upodobała sobie zaszczepianie w młodym pokoleniu wartości, które miały pokierować ich właściwą drogą przez dopiero poznawane społeczeństwo. Propagowała wśród swoich wychowanków (zaznaczyć trzeba, że byli oni wśród elity najlepiej zachowujących się klas) postawy oparte na dobroci skierowanej do drugiego człowieka.

Kiedy sama chodziła do szkoły podstawowej, powszechny był podział wśród dziewcząt na grupki, co miało też odzwierciedlenie w męskiej części klasy. Najprościej rzecz ujmując, podziały, które pojawiły się już na samym początku zachowały się przez resztę lat i raczej nie ulegały zmianie. Każdy miał swoją grupę, której się trzymał. Bez wyjątków. Nauczyciele nie widzieli w tym problemu, bo kiedy było trzeba, klasa wykazywała należyte zintegrowanie.

Jednym z najbardziej lubianych przez uczniów przedmiotów była matematyka, a to za sprawą nauczycielki, która posiadała niezwykle wręcz dar utrzymania uwagi uczniów na omawianym temacie. Nauczanie było dla niej pasją, a sama praca raczej przyjemnością niż przymusem. Znakiem rozpoznawczym Pani Żywińskiej, bo tak się nazywała, był zawsze nienaganny ubiór, uzupełniony gładko zaczesanymi włosami i wypolerowanymi do połysku pantoflami. Aura stanowczości i ukazujący się we wszystkim perfekcjonizm kontrastowały z wyrozumiałością okazywaną uczniom oraz ciepłem naznaczonych latami oczu. Zawsze za priorytet uważała zrozumienie przez uczniów materiału niż zrealizowanie określonego na daną klasę programu. Do każdego miała indywidualne podejście, a powszechnie znane metody karaniania były jej całkowicie obce.

W końcowych latach szkoły podstawowej do klasy mojej babci dołączyła pewna dziewczyna. Już przed jej przyjściem plotki mówiły, że wychowuje się w sierocińcu i kilka razy musiała zmieniać szko-

łę. W efekcie klasa była do niej na starcie negatywnie nastawiona, w tym też moja babcia, czego później żałowała. Żadna z grup nie chciała przyjąć do siebie Kornelii, zresztą ona sama też nie wykazywała chęci integrowania się z kimkolwiek. Zawsze siadała sama w ostatniej ławce, jakkolwiek interakcja z kolegami i koleżankami ją peszyła, a na pytania nauczycieli odpowiadała cichym, drżącym głosem. Twarz zawsze zasłaniała bujnymi włosami, natomiast oczu nigdy na nikogo nie podnosiła. Kwestią czasu było pojawienie się w jej stronę nie miłych komentarzy i docinków. Babcia po latach stwierdziła, że Kornelia była osobą autystyczną.

Nauczyciele nie dawali Kornelii taryfy ulgowej. Gdy

uczniów, którzy na każdej lekcji byli wybierani po kolei numerkami. Babcia również była z tego powodu niezadowolona, jednak później przyznawała, że Kornelia nie była zdolna do pisania czegokolwiek na tablicy przed całą klasą.

Na każdym sprawdzianie pani Żywińska podchodziła do Kornelii i pytała, czy na pewno rozumie polecenia, a gdy dostawała odpowiedź negatywną, którą było pokręcenie głową, to po cichu starała się je wytłumaczyć i uprosić jak tylko się dało. Gdy tylko słyszała złośliwe docinki w stronę dziewczyny, od razu ganiła takie zachowanie, w przeciwieństwie do reszty nauczycieli. Zaczęła również prosić ją, aby przychodziła do niej po lekcji na za-

jęcia wyrównawcze. Specjalnie dla niej w formie indywidualnej. Reszta klasy widząc to, czuła się coraz bardziej niesprawiedliwie. Nie wspominając już o tym, jak irytowało innych uczniów specyficzne traktowanie nowej uczennicy na sprawdzianach.

Pewnego dnia babcia (czego bardzo potem się wstydziła) zaczęła podjudzać innych przeciwko Kornelii i zachęcać do zgłaszania ich niezadowolona do pani Żywińskiej. Gdy w końcu klasa z babcią na czele odważyła się to zrobić i wszyscy, poza Kornelią, podeszli do niej po lekcjach, zobaczyli jej inną twarz.

Nigdy dotąd takiej nie widzieli. Kobieta stanowczym głosem kazała wszystkim usiąść w ławkach, a gdy to zrobili, odetchnęła ciężko i wypowiedziała potok ciężkich dla nich słów, które zapamiętali do końca życia.

Babcia najlepiej zapamiętała jeden fragment: „To, że ktoś jest od was inny, nie oznacza, że w najmniejszym stopniu jest od was gorszy. Wszyscy jesteśmy równymi sobie

ludźmi, a wzajemny szacunek i tolerancja to podstawa społeczeństwa bez sporów i wojen”.

Pod koniec lekcji pani Żywińska miała łzy w oczach. Już nikt nigdy nie docinał Kornelii, ani nie narzekał na jej specjalne traktowanie. Wszyscy zrozumieli, że dziewczyna faktycznie tego potrzebuje, jeśli chce wyrównać swoje szanse.

Kilka miesięcy później babcia zrozumiała jak ciężkie były do wypowiedzenia te słowa dla nauczycielki. Na jednej z ostatnich czerwcowych lekcji, gdy matematyczka zapomniła się i odsłoniła zawsze zakrywane, niezależnie od pogody, ręce, dojrzała wytatuowany, ledwo widoczny numer 5375.



dziewczyna nie odpowiadała na ich pytanie, albo nie potrafiła się wysłowić, dostawała karę w postaci bicia linijką po dłoni. Nieustannie wytykali jej słabe oceny oraz to, że nie nadąża za klasą. Kiedy oddawała nierozwiązane sprawdziany, głośno szydzili z niej, a to szyderstwo udzielało się klasie. Tym sposobem szanse Kornelii na jakiegokolwiek zaklimatyzowanie się w nowej szkole coraz bardziej malały.

Pierwszą osobą, która zaczęła traktować ją w sposób inny niż reszta, była pani Żywińska. Po kilku nieudanych próbach rozwiązania zadania przy tablicy, postanowiła unikać takiej formy sprawdzania wiedzy Kornelii. Nie uszło to uwadze innych

Mistrz ostatniej sali

TOMASZ BIAŁASZCZYK



Cały rok lub tylko wakacje można spędzić z Janem Matejką i jego wyobraźnią.

130 lat temu w Krakowie zmarł twórca, który podobnie jak Henryk Sienkiewicz, najlepiej potrafił uwiecznić historię Polski w swój niepowtarzalny sposób. Jan Matejko to jeden z najwybitniejszych artystów w dziejach Polski. Jego twórczość, ale także niezłomna postawa obywatelska, sprawiły, że na stałe zapisał się na kartach historii kraju, będącego wówczas pod rozbiarami. Tworzył w Galicji, w ukochanym Krakowie. Jego dzieła pokazywane były w największych galeriach Europy, ale zostały też przysypane grubą warstwą ziemi w oba-

wie przed zniszczeniem przez niemieckich okupantów.

Śladów artysty i jego dzieł można poszukiwać w Warszawie, Malborku, Krakowie, Częstochowie, Gdańsku, Poznaniu, Wrocławiu, Przemyślu, Tarnowie, Bydgoszczy, Toruniu, Rzeszowie, Bochni, Lublinie, Katowicach oraz w kolekcjach ze zbiorów prywatnych. Część obrazów i rysunków znajduje się w różnych miejscach na świecie (Watykan, Zagrzeb, Princeton). Pojedyncze dzieła są poszukiwane w ramach strat wojennych. Obecnie Polska może cieszyć się z eksponowa-

nia najważniejszych dzieł w najlepszych salach placówek Muzeum Narodowego. Mamy też liczne kopie dzieł, wykonywane różnymi technikami.

Jego monumentalne obrazy są jak robione z rozmachem filmu fabularnego, potrafią nawet przytłoczyć ilością postaci, ekspresji, sytuacji. Jak współcześni scenarzyści potrafił dobrać bohaterów, aby dzieło zyskało ostrzejsze przesłanie. W nowoczesnym świecie multimediów drobnej postury twórca, pewnie poradziłby sobie znakomicie. Część swoich dzieł miał zakontraktowanych



Tu żył, tu tworzył, tu jak współczesny menedżer zabiegał o fundusze na swoje największe dzieła. Tu się kształcił w szkole Sztuk Pięknych, stąd wyruszał na stypendium do Monachium i na studia do Wiednia. Z Krakowskiej przebogatej kolekcji wydaje się, że na świecie bardzo mocno rozpoznawalny jest obraz:

Astronom Kopernik, czyli rozmowa z Bogiem

Dzieło powstało, aby uczcić najślawniejszego ucznia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Oprócz Krakowa był pokazywany w Warszawie, Wiedniu i stolicy Wielkiej Brytanii. W połowie 2021 roku przez trzy miesiące był eksponowany w londyńskiej National Gallery. Obecnie upływa równo 150 lat od prezentacji obrazu w krakowskiej radzie miejskiej. Blisko dwa lata trwały przygotowania. Zachowały się dwa szkice – jeden należy do kolekcji Barbary Piaseckiej-Johnson w Princeton. Twarzy i sylwetki użyczył warszawski lekarz i przyrodnik doktor Henryk Levittoux, młodszy brat Karola Levittoux – młodocianego spiskowca, który popełnił samobójstwo w warszawskiej cytadeli.

już w momencie tworzenia, część dzięki umiejętnej promocji szybko znajdowała nabywców. Urządzał pokazy biletowane i za darmo. Jak trzeba sam opłacał salę do ekspozycji. Finansowo wspierał go mecenas prywatni i instytucjonalni. Warto odwiedzić...

Kraków

Niewątpliwie miasto najmocniej nasycone śladami artysty. Wielkie dzieła do obejrzenia w Sukiennicach na Rynku, w Muzeum Narodowym, kościele Mariackim, na Uniwersytecie Jagiellońskim, w dedykowanym muzeum w kościołach, mieszkaniach prywatnych.

► **Watykan**

Od 1883 roku Watykan ma w swoich zbiorach obraz Jan Sobieski pod Wiedniem, ukazujący zwycięstwo polskiego króla w 1683 roku. Prace nad nim trwały w latach 1882-1883, jednak szkice do obrazu Matejko zaczął malować już około 1879. W Domu Jana Matejki w Krakowie przechowywany jest szkic olejny do tego obrazu namalowany w 1880. Ostateczna wersja powstawała od końca 1882. Artysta zdażył na 200. rocznicę bitwy. Dnia 12 września 1883 obraz został wystawiony w Wiedniu.

Osobiście wynajął salę i za swoje prywatne pieniądze udostępnił dzieło. Rozmyślnie ogłosił, że wstęp na pokazy jest bezpłatny. Oglądała go wiedeńska śmietanka towarzyska z cesarzem i rodziną monarchy na czele. Licznie pojawili się mieszkańcy Wiednia i turyści.

Trudno ustalić kiedy twórca wpadł na pomysł, ale w grudniu 1883 Matejko wraz z polską delegacją udał się do Rzymu, gdzie osobiście przekazał obraz papieżowi Leonowi XIII. Podkreślić należy, że w uzgodnieniu z częścią sponsorów obraz został wręczony jako dar narodu polskiego. Obrazowi zarzucono zbytnią dowolność. Przedstawia scenę, gdy król Jan III Sobieski siedząc na koniu wręcza list kanonikowi Denhoffowi, wysłannikowi papieża Innocentego XI, z wiadomością o pokonaniu wojsk tureckich u bram Wiednia.

Nie tylko Wrocław

W kolejnym artykule opiszę wrocławskie zbiory, gdyż to właśnie Muzeum Narodowe w stolicy Dolnego Śląska ma pod swoją opieką zbiór grafik Poczet królów polskich Jana Matejki. Kolekcja po II wojnie światowej przywędrowała na Dolny Śląsk prosto ze Lwowa. Jest prezentowana w specjalnym oświetleniu i tylko czasowo. Tu także można zobaczyć ostatnie wielkie dzieło Śluby Jana Kazimierza (1893). Płótno o rozmiarach 500 x 315 cm. Nie pominiemy też Rogalina, bowiem poznańskie Muzeum Narodowe w swoim oddziale w Rogalinie pokazuje największy obraz stworzony przez Jana Matejkę – Joanna d'Arc (Dziewica Orleańska). Unię Lubelską można oglądać oczywiście w Lublinie. Najślabiej twórczość mistrza Jana jest reprezentowana w gdańskim Muzeum Narodowym. Jednak po niedawnym wzmocnieniu mecenatu Ministerstwa Kultury i Sztuki może doczekamy czasów, gdy Hołd Pruski i Bitwa pod Grunwaldem staną obok siebie wraz z innymi dziełami na pomorskiej ziemi – w ostatniej sali, gdzie zazwyczaj prezentowane są najcenniejsze i najwybitniejsze dzieła z kolekcji.

Zdjęcia: Maria i Marta Morawieckie

Kraków

80. rocznica zbrodni ukraińskich nacjonalistów

■ W Krakowie miały miejsce uroczyste obchody 80. rocznicy tzw. krwawej niedzieli, w trakcie której nacjonałiści ukraińscy zaatakowali na Wołyniu 100 miejscowości zamieszkiwanych przez Polaków i dokonali masowych mordów. Dla Polaków ten dzień był jednym z najtragiczniejszych dni II wojny światowej. Ta tragedia jest częścią historii Polski.



11 lipca 2023 roku w Narodowym Dniu Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonano przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II RP w kaplicy na cmentarzu Rakowickim została odprawiona msza święta, po czym odbyły się uroczystości przy pomniku ofiar ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu. Oddano hołd pamięci zarówno ofiar, jak i żoł-

nierzy Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich i lokalnych grup samoobrony – tych, którzy bronili rodaków przed atakami nacjonalistów. Wspomniano także Ukraińców, Czechów i Węgrów, którzy z narażeniem życia starali się ratować polskich sąsiadów. W uroczystościach wzięli udział m.in. dyrektor krakowskiego oddziału IPN dr hab. Fi-



lip Musiał, wojewoda małopolski Łukasz Kmita i konsul generalny Ukrainy w Krakowie Wacław Wojnarowski.

Ludobójstwo dokonane w latach 1939-1946 przez nacjonalistów ukraińskich na mieszkańcach Kresów Południowo-Wschodnich stanowi część dramatu zgotowanego obywatelom polskim przez systemy i ideologie totalitarne. W wyniku zbrodniczych działań Orga-

nizacji Ukraińskich Nacjonalistów, Ukraińskiej Powstańczej Armii, Służby Bezpieki OUN, Samoobronnych Kuszczowych Widditów i band chłopskich na terenie czterech przedwojennych wschodnich województw II RP – wołyńskiego, lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego – zginęło ponad 150 tys. polskich obywateli. Śmierć zadawano im w niezwykle okrutny sposób. W domach, w zabudowaniach gospodarczych, szkołach, podczas podróży, w kościołach. Rzeź wołyńska objęła nie tylko sam Wołyń, ale też tereny Galicji Południowo-Wschodniej. W 2016 roku Sejm ustanowił 11 lipca Narodowym Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II RP. Sejm – głosi uchwała – oddaje hołd „wszystkim obywatelom II Rzeczypospolitej bestialsko pomordowanym przez ukraińskich nacjonalistów”. W ustawie wyrażono też wdzięczność wobec tzw. Sprawiedliwych Ukraińców, którzy odmawiali udziału w mordach i ratowali Polaków.



GRZEGORZ GORCZYCA

Amerykańskie problemy z Ukrainą

Marek Bober

WIDZIANE Z CHICAGO

■ Były prezydent USA Donald Trump powtarza, że gdyby był prezydentem, do wojny na Ukrainie by nie doszło. Czy tak by było – nigdy się nie dowiemy. Mówi ponadto, że będąc prezydentem byłby w stanie zakończyć wojnę w 24 godziny.

Swój plan doprecyzował ostatnio w wywiadzie dla telewizji FOX News. Oznajmił, że powiedziałby prezydentowi Ukrainy, iż „musi zawrzeć umowę”. Prezydenta Rosji by ostrzegł z kolei, że jeśli nie zaakceptuje porozumienia, spotkają go konsekwencje. – *Znam Zełenskigo bardzo dobrze i znam Putina bardzo dobrze, jego nawet lepiej – powiedział Trump. – Miałem dobre relacje, bardzo dobre z obydwojma. Powiedziałbym Zełęńskiemu: wystarczy, musisz zawrzeć umowę. Powiedziałbym Putinowi: jeśli nie zawrzesz umowy, damy im dużo. Damy Ukrainie więcej niż kiedykolwiek, jeśli będziemy musieli. Załatwię więc umowę w jeden dzień.* Jednego dnia. Zdaniem Trumpa, prezydent Joe Biden nie jest w stanie poradzić sobie ze światowymi przywódcami, których opisał jako „ostrzych, twardych i ogólnie złośliwych”. *Mamy człowieka – oznajmił – który nie ma pojęcia, co się dzieje. To najniebezpieczniejszy czas w historii naszego kraju.*

Javeliny od Trumpa

Warto przypomnieć, że gdyby nie ręczne wyrzutnie przeciwpancerne Javelin, dostarczone Ukrainie przez jego administrację na długo przed inwazją Rosji – losy wojny w początkowym etapie mogłyby wyglądać zupełnie inaczej. Przypomnijmy także, że amerykańskie czy brytyjskie dostawy broni po 24 lutego 2024 r. zaczęły docierać na Ukrainę z opóźnieniem. Wypowiedź Trumpa – że gdyby Rosja nie przystała na warunki pokojowe, wysłałby na Ukrainę jeszcze więcej broni niż prezydent Joe Biden – wzmogła w USA dyskusję z zupełnie innego powodu, wzmogła szczególnie wśród sceptyków amerykańskiego zaangażowania. Dyskusja skupia się na zagadnieniu, ile pieniędzy amerykańskich podatników to zaangażowanie kosztuje, ile zapłacono za uzbrojenie i amunicję, ile pieniędzy przeznaczono na pomoc humanitarną i medyczną. I czy wszystko dotarło, czy rząd federalny ma nad tym kontrolę.



Prezydent Joe Biden cały czas zapewnia, że Ukraina może liczyć na pomoc USA. Fot.: Joe Biden/Facebook

Miliardy dolarów

Do tej pory Stany Zjednoczone przekazały Ukrainie dziesiątki miliardów dolarów na pomoc, w tym na dostawę broni i szkolenie ukraińskich sił zbrojnych. USA wysłały wyrzutnie przeciwpancerne i przeciwlotnicze, artylerię, systemy obrony przeciwrakietowej Patriot, czołgi i inne opancerzone pojazdy bojowe. Stany Zjednoczone zatwierdziły również transfer myśliwców F-16, a ostatnio zaczęły wysyłać stronie ukraińskiej kontrowersyjną amunicję kasetową. Kongres od dnia inwazji oficjalnie wysłał na Ukrainę 113 mld dolarów, choć tu i ówdzie po-

jawiają się wyższe sumy. Większość pieniędzy została przeznaczona na bezpośrednie wsparcie wojskowe. Miliardy dolarów poszły jednak także na wspieranie ukraińskiego rządu, pomoc humanitarną itp. Pomoc ta kosztowała i kosztuje amerykańskiego podatnika gigantyczne pieniądze. Gdyby nie ta pomoc Ukraina byłaby już pod rosyjską okupacją. Ale jak skuteczna jest ta pomoc i czy dotarła w całości, to osobny temat. Temat, który rodzi pytania.

Brak kontroli

28 czerwca inspektor generalny Departamentu Obrony opubliko-

wał raport, w którym stwierdził, że wojsko nie prowadzi konsekwentnie dokładnej inwentaryzacji, gdzie trafia broń przekazywana na Ukrainę. Nie mamy więc precyzyjnych danych Pentagonu na temat tego, czy zasoby wojskowe są przekazywane i wykorzystywane zgodnie z umowami zawartymi między USA i Ukrainą. W raporcie inspektor generalny poinformował, że amerykańscy urzędnicy w Polsce „nie zawsze byli fizycznie obecni”, aby zrobić dokumentację broni, którą Pentagon transportował z centrów logistycznych w Polsce na Ukrainę. Przykładowo, oficerowie wojskowi powinni śledzić numery seryjne niektórych broni, takich jak pociski Javelin, które wysyłają na Ukrainę, aby mieć pewność, że każda z nich dotrze do zamierzonego celu. „W rezultacie Departament Obrony nie prowadzi obecnie pełnej inwentaryzacji” wszystkich dostaw broni, które wymagają zgodnie z prawem dodatkowej kontroli. Część problemu, jak przekazał inspektor, polegała na tym, że „tylko jedna osoba prowadzi w Polsce inwentaryzację numerów seryjnych przed wjazdem artykułów obronnych na Ukrainę”. Dodał: „Jest to jednak znaczące wyzwanie, ponieważ co najmniej jedna z lokalizacji logistycznych znajduje się około 90 mil, czyli około dwóch godzin jazdy od innych”. Różne instytucje i agencje nadzorują pieniądze przekazywane przez Kongres. Zwróciły one uwagę, że brak dokumentacji transportów z Polski na Ukrainę, to tylko jeden z wielu problemów.

Ten sam inspektor generalny Departamentu Obrony napisał w raporcie z 8 czerwca, że wojskowi nie przestrzegali procedur śledzenia dostaw broni wysyłanej na Ukrainę drogą powietrzną i „nie mogli potwierdzić ilości otrzymanych artykułów obronnych w stosunku do ilości wysłanych” dla większości nadzorowanych przesyłek. Innymi słowy, generalny inspektor Pentagonu wielokrotnie stwierdził, że wojsko nie kontroluje od-

powiednio drogich dostaw, które wysyła na Ukrainę.

Czarny rynek

Nie jest tajemnicą, że Ukraina – także w czasie wojny – jest krajem przeżartym korupcją z rozległym czarnym rynkiem. Obawy co do przekazywanych pieniędzy i broni nie są bezpodstawne. Zgodnie z informacjami amerykańskiego Cato Institute, Ukraina była znana z jednego z największych na świecie nielegalnych rynków handlu bronią. Jak podawał instytut, po aneksji Krymu a jeszcze przez inwazję Rosji w lutym 2022 roku, na Ukrainie zniknęło 300 tys. broni palnej i innej; większość trafiła na czarny rynek. W czasie wojny trudno jest prowadzić dokładną ewidencję i zebrać jednoznaczne dowody, jednakże pojawiają się doniesienia, że broń i amunicja przekazywana Ukrainie przez USA trafiała niekoniecznie tam, gdzie powinna. W ubiegłym roku prezydent Nigerii mówił, że broń z przeznaczeniem dla Ukrainy trafiła do Afryki, z kolei jeden z amerykańskich dziennikarzy poinformował, że przemytnicy broni działają w Rumunii i Polsce.

Nieszczelne dostawy

Nic więc dziwnego, że pojawiają się głosy krytyczne lub sceptyczne wobec amerykańskich wysiłków. Wojna jest w fazie stagnacji, ukraińska ofensywa nie przynosi rezultatów i końca konfliktu nie widać. Z jednej strony administracja Bidena jest krytykowana za wysłanie Ukrainie amunicji kasetowej, z drugiej strony też jest piętnowana, że nie przekazuje rakiet dalekiego zasięgu. Zakazaną w ok. 120 krajach broń kasetową zdecydowano się wysłać dlatego, że wyczerpują się zapasy „normalnej” amunicji. Nie są odosobnione głosy, że zaangażowanie Bidena w uzbrajanie Ukrainy zaczyna się odbywać kosztem gotowości obronnej USA. Oprócz broni, sprzętu wojskowego i amunicji, Kongres przeznaczył miliardy dolarów na pomoc humanitarną, która miała – rzekomo – zapewnić Ukraińcom żywność i opiekę medyczną. A pomoc humanitarna w warunkach wojennych czy też katastrof jest trudna do kontrolowania. ▶

► Często przypomina się w tym przypadku tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi na Haiti w 2010 r. Rząd amerykańskich za pośrednictwem Amerykańskiej Agencji ds. Rozwoju Międzynarodowego i innych agencji przeznaczył wtedy grube miliony dolarów na cele pomocowe. Okazało się, że tylko 1 proc. tych pieniędzy trafił bezpośrednio do rządu Haiti, a większość pieniędzy znalazła się na kontach prywatnych amerykańskich firm deweloperskich. Nie inaczej było w przypadku Afganistanu, z tą różnicą, że tutaj chodziło nie o miliony a miliardy dolarów. Specjalny amerykański inspektor ds. odbudowy tego kraju oznajmił, że aż 30 proc. pieniędzy, które badał zostało zmarnowanych lub przepało bez śladu w wyniku oszustw. Kontrola agencji USAID wykazała, że od kwietnia otrzymano 226 skarg dotyczących Ukrainy. Zastrzeżenia dotyczyły m.in. fałszywych wyciągów bankowych i faktur od osób, które próbowały ukraść część pieniędzy pomocowych dostarczonych przez USAID.

Stale poparcie

Biały Dom zapewnia, że dostawy wojskowe i pieniądze będą docierać na Ukrainę. Mówił o tym zdecydowanie prezydent Biden na niedawnym szczycie NATO w Wilnie. Głosów za zaprzestaniem zaangażowania USA jest w Kongresie niewiele, ale głosów, aby przywrócić się bliżej skuteczności przekazywanej pomocy przybywa. Chociaż wojna trwa już prawie 18 miesięcy, poparcie dla Ukrainy pozostaje dość silne wśród amerykańskiej opinii publicznej. Według niedawnej ankiety, przeprowadzonej przez Fundację i Instytut Prezydenta Ronalda Reagana, 76 procent Amerykanów twierdzi, że zwycięstwo Ukrainy jest ważne dla USA, a 59 popiera pomoc wojskową dla tego kraju. Ale badanie wykazało również znaczną przepaść między Republikanami a Demokratami. Tylko połowa republikańskich uczestników stwierdziła, że popiera pomoc wojskową dla kraju, to samo powiedziało 75 procent Demokratów. Z kolei badanie Quinnipiac wykazało, że 64 procent Amerykanów uważa, że wspieranie Ukrainy leży w najlepszym interesie Stanów Zjednoczonych, podczas gdy 29 procent stwierdziło, że nie. Jedna trzecia Amerykanów uważa, że USA robią za dużo, by pomóc Ukrainie, 18 procent uważa, że robią za mało, a 41 procent uważa, że robią w sam raz.

Tymczasem administracja Bidena ogłosiła nową rundę pomocy wojskowej dla Ukrainy, która obejmie krytyczne zdolności obrony powietrznej i amunicję o wartości około 1,3 miliarda dolarów. Sceptyków co do wielkości pomocy, ewentualnie nawet jej zaprzestania, będzie z czasem, mimo wszystko, przybywać.

„Pan Samochodzik”

■ Jestem z pokolenia, które w dzieciństwie czytało „Pana Samochodzika”. W nosie mieliśmy ideologiczne przesłania, jakie autor próbował przemycić. Liczyły się przygody, które bohater, czyli „Pan Samochodzik”, nazywany także Tomaszem, przeżywał.

Pamiętam, że pierwszą z książek jaką przeczytałem – „Księżę strachów”, dostałem pod choinkę i pochłonąłem ją w noc. Potem były kolejne, aż w końcu obejrzałem serial w reżyserii Huberta Drapelli „Pan samochodzik i templariusze”. W czasach szkoły podstawowej przygody detektywa – amatora, urzędnika wydumanego urzędu ministerialnego, który szuka zaginionych skarbów, były czymś nowym, w każdym razie dla mnie. Fascynacja poszukiwaniami skarbów zawładnęła mną na tyle, że sam zacząłem poszukiwania. Różnie z tym bywało. Opukiwałem ściany domu moich dziadków, czym naraziłem się, bo przy okazji zbiłem kawał tynku i odkryłem skrytkę, w której dziadek przechowywał – ku utrapieniu mojej babci, swoistą pamiątkę z czasów wojny – starego „Visa”. Dziadek nie chciał powiedzieć skąd ma ten pistolet. Obiecywał, że powie kiedyś, w końcu zmarł i zabrał tajemnicę ze sobą. Pistoletu ponownie ukrytego nie odnalazłem – może gdzieś leży do tej pory, a może następni właściciele gospodarstwa już go odnaleźli, nie wiem. Nie było to jedyne znalezisko godne uwagi.

Mieszkając w Kaszycach Milickich chodziłem na miejsce, skąd miejscowi wybierali piasek do budowy. Przy okazji znajdowali skorupy po naczyńiach. Teren ten był znany archeologom i konserwatorom. Do Kaszyc przyjeżdżał m.in. Tadeusz Kaletyn, ówczesny dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Archeologiczno-Konserwatorskiego we Wrocławiu. Opowiadał o obiektach archeologicznych, które należało strzec przed zniszczeniem. Sam jednak w tej materii niewiele uczynił, tak że piasek nadal był wybierany do budowy przez miejscowych gospodarzy, a przy okazji rozbijano naczynia. Jak wielu innych chłopaków, chodziłem po tym miejscu i zbierałem skorupy, by w domu w miarę możliwości je sklejać. Kiedyś znalazłem metalowy nóż, jak się potem okazało, pochodzący z okresu średniowiecza. Oczywiście były i takie momenty, kiedy przy okazji wizyt u znajomych, oglądałem pęknięcia murów i opukiwałem ściany, czy aby nie ma tam jakiejś skrytki. Wprawiałem tym zajęciem w zdumienie i pewną podejrzliwość samych gospodarzy, jak i moich rodziców.

Książki Nienackiego miały pewnie jakiś wpływ na wybór moich zainteresowań archeologią i historią, którą ostatecznie studiowałem we Wrocławiu. Przygody „Pana Samochodzika” poszły gdzieś w zapomnienie i dopiero po latach zapoznałem się z twórczością ich autora, Zbignie-

wa Nienackiego. Faktycznie nazywał się Zbigniew Nowicki i pochodził z Łodzi. Wsiedlony z rodzicami podczas wojny do Słupi Skierniewickiej, musiał fizycznie pracować u gospodarzy, którzy przygarneśli rodzinę. Na jego wybór życiowy związania się z komunistami wpływ miała, jak sam wspominał po latach, kwestia braku butów. Sam chodził w drewnianych „tre-pach”, które mocno hałasowały, przez co nie został przyjęty do grupy młodych osób, tworzących oddział partyzancki. Ćwiczenia tych młodych ludzi odbywały się wieczorami w zagajniku, powrót następował późną nocą, a więc chodziło, by postronne osoby nie wiedziały o tym co robią młodzi konspiratorzy. Odgłosy wydawane przez trepy przyszedłszy pisarza mogły ich zdekonspirować. Odrzucony, a następnie obrażony na „panów partyzantów” Nowicki, postanowił związać się z poczynaniami lewicy spod znaku sierpa i młota. Jak tam było w rzeczywistości, do końca nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że Nowicki ukończył szkołę średnią, lecz matury nie zdał. Nie wiadomo, jakim cudem zatem dostał się na studia w łódzkiej filmówce. Może miał uzupełnić maturę podczas studiów – kto wie. Wiadomo natomiast, że wyjechał na stypendium do Moskwy i stamtąd wkrótce został relegowany. On sam mówił, że uciekł, bo nie chciał donosić na kolegów. To mało prawdopodobne, bowiem wyjechać z Kraju Rad nie było tak łatwo. Podobnie, jak i tam wjechać. W każdym razie, on sam musiał ponieść konsekwencje – ktoś poradził mu, aby zmienił nazwisko, „ale nie kończące się na –cki, –ski, bo to zbyt polskie”. Jednak został polsko brzmiącym „Nienackim”.

Autor był związany z łódzką prasą, próbując przy okazji sił w twórczości literackiej. Zajął się pisaniem dla młodzieży, wykorzystując swoje zainteresowania archeologią. Jego pierwsza powieść „Uroczysko” jest oparta na osobistych zapiskach, jakie poczynił podczas pobytu na obozie archeologicznym. Temat był nowy w ówczesnych realiach piśmiennictwa dla młodzieży, spotkał się z poparciem władzy, która lansowała obchody „Tysiąclecia Państwa Polskiego”. Powstało wówczas wiele publikacji naukowych o „polskości ziem prastawiańskich”. Reporterzy prasowi byli delegowani na prowadzone wykopaliska archeologiczne, by zdawać relacje z odkryć. Niektóre z tych reportaży doczekały się później wydań książkowych, jak choćby Janusza Roszko („Pogański książę silny wielce”, „Koleba Siemowita”). Powieść Nienac-

kiego dla młodzieży o poszukiwaniach archeologicznych wpisywała się w ten ogólnopolski trend.

Potem poszły kolejne przygodowe pozycje dla młodzieży, w których głównym bohaterem staje się wspomniany „Pan Samochodzik”. Takie miano otrzymuje od swoich młodszych kompanów, którzy wspomagają go w poszukiwaniach zaginionych skarbów, i jest związane z pojazdem, którym „Pan Samochodzik” się porusza. Bo ten pojazd – po raz pierwszy występujący na kartach powieści „Wyspa Złoczyńców” – to kompilacja rozbitego samochodu Ferrari, z którego wuj Gromiło wydobyl silnik „superamerica” 410 i dodał wiele własnych ulepszeń, dzięki którym pojazd mógł pływać, chociaż wyglądał „okropnie”, nazywany był „latającym talerzem”, „wozem cyrkowym”, a nawet „karawanem”. Jednak dzięki swoim walorom „Pan Samochodzik” zostawiał w tyle inne pojazdy. Nie było to takie trudne na ówczesnych drogach, po których jeździły „Syrenki”, „Warszawy”, „Wartburgi”, a na przykład Waldemar Batura – główny przeciwnik bohatera – raz jeździł „piękną Skodą”, ale zasadniczo poruszał się samochodem Turbo. Co to za samochód? Nie wiadomo, bowiem według Nienackiego była taka marka. Brzmi to tak samo, jakby nazwać jakiś samochód np. Sedanem. W każdym razie, Waldemar Batura prześladował Tomasza, bowiem będąc handlarzem antyków, był obdarzony żyłką detektywistyczną. Oczywiście, nie tak wielką jak Tomasz. Ponadto Batura „podał się kobietom i nosił czarne wąsiki”, do tego chodził w modnych zagranicznych ubraniach. A pan Tomasz? Z kobietami było różnie, nie wiązał się z nimi, bowiem po pierwsze – miał małe mieszkanie, w zasadzie kawalerkę na warszawskiej Starówce, po drugie, nie miał czasu, bo szukał zaginionych skarbów. Poza tym „był zbyt inteligentny” i chyba ewentualne partnerki nie mogły takiego kogoś zaakceptować.

Nienacki pod koniec lat 60. przeniósł się do Jerzwałdu na Mazurach i zamieszkał w starym domu, który remontował przez wiele lat. Jego żona została z synem, a on zajął się własną karierą pisarską. Przy okazji związał się z nastoletnią Alicją Janeczek, która „stała się jego powiernicą i muzą”. Partnerka Nienackiego została uwieczniona w postaci Marty w „Nowych przygodach Pana Samochodzika”. W tej powieści akcja ma miejsce na Jezioraku koło Iławy. Alicja Janeczek była „dostarczycielką” wielu miejscowych historii, które zasłyszawsza stojąc w kolejce w miej-

scowym sklepie. To dzięki tym zasłyszonym opowieściom Nienacki w latach 80. napisał skandalizujące książki dla dorosłych: „Raz w roku w Skiroławkach” oraz „Wielki las”. Były to powieści, które przyniosły pisarzowi rozgłos, ale wywarły złe wrażenie wśród miejscowej ludności. Opisywane w książkach historie były fantasmagoriami pisarza, który obdarzył swoich bohaterów cechami łatwymi do rozpoznania wśród mieszkańców Jerzwałdu. Przy okazji na światło dzienne zaczęły wychodzić inne, brzydkie sprawy „Pana Pisarza”, jak go tu nazywano. Jako ormowiec zasadał się na tych, którzy nielegalnie wycinali choinki z lasu albo kradli drewno. Nienacki lubił pojawiać się na zebrańkach literackich w Olsztynie, na których wyciągał na ławę pistolet, bo miał na niego pozwolenie. W latach 80. popierał stan wojenny i miał dziwny zwyczaj, by szczególnie szkodzić poecie Erwinowi Krukowi, działaczowi „Solidarności”.

Osobną kwestię stanowią jego związki ze Służbą Bezpieczeństwa. Kontakty datują się od lat 50. Nienacki otrzymał od SB materiały dotyczące działalności Stanisława Sojczyńskiego ps. „Warszyc”, dowódcy antykomunistycznego Konspiracyjnego Wojska Polskiego, który działał w latach 40. na ziemi łódzkiej. Na podstawie materiałów Nienacki napisał esbecką agitkę „Worek judaszów”, wydaną w 1961 r. Bohaterski major UB prowadził walkę z „bandziorami”, którzy dążą do „siłowego obalenia demokratycznego ustroju w Polsce”. Perfidna gra bandziorów zostaje zdemaskowana, a banda rozbita. Nienacki lubił tworzyć wokół siebie pewną aurę tajemniczości, szczególnie podczas pobytu w Jerzwałdzie. Nawet swojej partnerce, Alicji Janeczek, wydawało się być „agentem wywiadu”. W rzeczywistości był zastraszoną konfidentem o pseudonimie „Eremita”, lubującym się w tworzeniu pozorów.

Jak przystało na „rasowego pisarza znad Wielkich Jezior”, Nienacki miał swój jacht i pływał nim po jeziorze Płaskim, przy którym stał jego dom. Raczej był słabym żeglarzem, podobnie jak i marnym kierowcą, w odróżnieniu od swego bohatera, „Pana Samochodzika”.

A teraz kwestia najważniejsza. Dlaczego wspominam tę postać? Od kilkunastu dni dominują wiadomości o nowym filmie o „Panu Samochodziku”. Boję się otwierać lodówki, by i stamtąd „coś” nie wyleciało. Nie wiem czy ten film obejrzę, może przy okazji. By skonfrontować z powieścią.



ANDRZEJ MANASTERSKI

Zanikająca suwerenność



JERZY PAWLAS

■ Gdy europejski elektorat coraz bardziej orientuje się w stronę wartości prawicowo-konserwatywnych, czy realizacja wizji federalistycznej unii brukselskiej pod niemiecką hegemonią staje się zagrożona?

Ustawa dekomunizacyjna obowiązuje od 1 kwietnia 2016 roku, ale w Warszawie nadal nie zmieniono nazw 50 ulic, co zresztą stołeczny ratusz obronił w sądach administracyjnych. W całym kraju straszą pomniki czerwonoarmiejców i utrwalaczy władzy ludowej. W sytuacji gdy alternatywne historie tworzą zarówno Niemcy (naziści odpowiedzialni za II wojnę), jak i Rosjanie (nie było agresji 17 września 1939 roku, tylko wojna ojczyzniana od 1941 roku z faszystami) – polscy obywatele są poddawani wewnętrznej i zewnętrznej presji propagandowej. Niemniej bez utrwalonej tożsamości historyczno-kulturowej, trudno mówić o wolności, co przecież rzutuje na decyzje polityczne obywateli. Tylko wolni ludzie mogą tworzyć suwerenny naród.

Ponad stuletnia tradycja niemieckiej „mitteleuropi” jest konsekwentnie kontynuowana, mimo dwóch przegranych wojen germańskiego imperializmu. Grasujące w naszym kraju liczne fundacje, wspierane przez niemiecki rząd i partie polityczne, robią co mogą, by zmierzać do „pojednania” i „dialogowania” niemiecko-polskiego. Tak więc, zamiast od dawna obiecywanego upamiętnienia Polaków – ofiar II wojny, powstaje bliżej nieokreślony „dom niemiecko-polski” do debaty o historycznych relacjach między oboma państwami i narodami. Działający od 30 lat w naszym kraju Niemiecki Instytut Historyczny dał przykład „dialogowania”, organizując wykład Jana Grabowskiego, znanego popularyzatora antypolskiej historiozofii.

Buszujący od lat w naszym kraju partyzanci-ekolodzy już to bronią szkodników lasów, już to usiłują blokować inwestycje przemysłowe, mogące być konkurencją dla zagranicznych (głównie niemieckiej) gospodarek. Działają bezprawnie, ale narzekają na „brutalność policji”. Utrudniają racjonalny rozwój gospodarki, ale wciąż nie ma ustawy zabraniającej zagranicznego finansowania miłośników przyrody, którym – jak wykazują sprawozdania księgowo – nieźle się powodzi.

Nieodpowiedzialna transformacja, przeprowadzona przez neoliberalistów okrągłostołowych, doprowadziła do likwidacji krajowego przetwórstwa rolno-spożywczego, pośrednictwa i sieci handlowej. Polscy rolnicy znaleźli się w łapczywych rękach zagranicznych koncernów. Teraz komisarze brukselscy wprowadzają nowe ograniczenia, upierając się przy embargu na import ukraińskiego zboża tylko do 15 wrze-



śnia. Co będzie potem (deregulacja polskiego rynku rolnego), to ich nie interesuje, albo interesuje tym bardziej. Perturbacje polskiej gospodarki to problem obecnego rządu. Jeżeli nie podoła, będzie następny (wybory), sprzyjający komisarzom. Mimo ich poza traktatowych poczynań (ingerencje w wymiar sprawiedliwości, sprawy obyczajowe, nie mówiąc o lasach) obywatele polscy optują za członkostwem w UE (74% ankietowanych przez pracownię Social Changes, z czego 47% zdecydowanie tak). Przeciw jest 14%. Jeżeli idzie o przynależność partyjną, to PO – 99%, PL 2050 – 98%, Zjednoczona Prawica – 72%, Konfederacja – 62%.

Gdy ONZ już dawno zdeklarowała swoje lewactwo, promując tzw. zdrowie reprodukcyjne i seksualne (czyli aborcja jako usługa zdrowotna i program lgbt), to WHO coraz hojniej funduje popularyzację aborcji (72 mln USD w rocznym budżecie). Robi to wbrew prawu międzynarodowemu (każdy ma prawo do życia), lansując tzw. bezpieczną aborcję, która jest zagrożeniem dla życia kobiety. Nie przeszkadza to aktywistom aborcyjnym z WHO iść dalej – postulują ograniczenie klauzuli sumienia dla lekarzy. Jeżeli kobieta ma „prawo do aborcji”, to medycy nie mogą powoływać się na klauzulę sumienia. I polskie „wolne sądy” rozumieją te zagraniczne trendy, skazując aktywistów pro-life, a umarzając sprawcom ich atakujących.

Debata polityczna

Parlament Europejski nie byłby sobą, gdyby nie przekraczał kolejnych wyżyn absurdu (m.in. 39 bezzasadnych rezolucji przeciwko Polsce). Tym razem brukselskie lewactwo zwątpiło w rzetelność wyborów sejmowych. Co więcej, wezwało Komisję Europejską do przedsięwzięcia wszelkich starań, by zmienić sytuację w Polsce. Co tam demokratyczne wybory, gdy trzeba zmienić prawicowo-konserwatywne władze.

Instytucje usługowe

Gdy trzeba, Parlament Europejski wygłasza, że polski Trybunał Konstytucyjny jest po prostu nielegalny, jak również sędziowie Sądu Najwyższego, którzy będą orzekali o ważności wyborów sejmowych. Tylko patrzeć, jak eurodeputowani wybiorą polski rząd, bo krajowy elektorat wydaje się nie dość dojrzały do brukselskiej demokracji. Jak na razie, opozycja nie ma nic przeciwko temu, by Parlament Europejski kwestionował legalność polskiego Trybunału Konstytucyjnego, choć nie ma on do tego żadnych kompetencji.

Zamiast orzekać o przestrzeganiu praw traktatowych, TSUE zajmuje się doraźną polityką brukselokratów. Już to wtrąca się w polski wymiar sprawiedliwości, już to zajmuje się sprawami obyczajowymi, choć są to wyłączne kompetencje państwa członkowskiego. Kuriozalne orzeczenie o zamknięciu Turowa nie miało precedensu, ale tłumaczy się walką konkurencyjną kopalń czeskich i niemieckich z polską. Trudniej zrozumieć absurd, gdy polski sędzia w TSUE (nb. działający po wygaśnięciu kadencji) orzeka o prawie zawieszono sędziego do kwestionowania legalności jego kolegów po fachu. W dodatku, wprowadzając możliwość testowania sędziów w prawie brukselskim, eurokraci prowokują bezprawie, anarchię i chaos prawny, skoro można kwestionować orzeczenia sądów w różnych krajach. W tej sytuacji nawet OBWE nie pomoże, niemniej Parlament Europejski chce, by śledziła proces wyborczy w naszym kraju.

Chociaż – jak nie od dziś wiadomo – pieniądz nie śmierdzi, a kapitał nie ma narodowości, to jednak Bank Rozwoju Rady Europy wstrzymuje kredyt na użeglowienie Odry. Przy okazji wychodzi na jaw, że organizacje proekologiczne bynajmniej nie dbają o ochronę środowiska, za to troszczą się o niemieckie interesy. Na szczęście polska gospodarka w coraz większym stopniu może sobie poradzić bez brukselskich pieniędzy. Niemniej osąd Komisji Europejskiej nie może być pozytywny, gdy nie potrafiła wskazać rozwiązania problemów energetycznych, ekologicznych czy bezpieczeństwa, gdy pozwala sobie poza traktatowo narzucać regulacje w kwestiach społecznych, kulturowych, edukacyjnych czy religijnych.

Podchody gospodarcze

Prokuratura Generalna, powstała za rządów Jana Olszewskiego, miała chronić majątek pań-

stwowy przed złodziejską prywatyzacją, analizując racjonalność (opłacalność) podejmowanych przekształceń własnościowych. Niewiele zdziałała, bo rząd obalili postkomuniści i grubokreskowi neoliberalowie. Obecnie jej kompetencje obejmują tylko tzw. kontrolę następczą (sprawdza, czy przy prywatyzacji skarb państwa nie odniósł straty), czyli ograniczono jej pole działania (tak, jak stępiono lustrację). Nie słychać jednak, by weryfikowała sens prywatyzacji takich firm, jak TP SA, Ciech czy stocznie.

Gdy brukselokraci narzucają dekarbonizację, nasza gospodarka traci konkurencyjność (tania energia elektryczna z węgla). Gdy narzucają OZE – chociaż prezydent Lecha Kaczyński wyprocedował, że nasz kraj będzie miał własny mikst energetyczny – to robią to w interesie państw dysponujących odpowiednimi technologiami. Gdy lansują ochronę przyrody, stosując zwykły eko-terrorizm, to chcą zamienić nowe kraje członkowskie w rezerваты. Niech się nie rozwijają. Niech pozostaną rynkami zbytu. To taka solidarność gospodarki brukselskiej. I nic to, że poza traktatowa.

Zakłamaną pamięć

Stolica w opozycji do państwa – tylko w Polskiej Rzeczypospolitej Grubokreskowej możliwe są takie paradoksy, gdzie wiceprezydentka Warszawy zaprasza na uroczystości urodzinowe stalinowskiego pałacu kultury. W krajo-brazie miasta stanowi taką dominantę, jak antypolskie media polskojęzyczne w infosferze. Pospółt kształtują świadomość odmóżdżanego elektoratu. Łatwo mu wmówić, że w Marszu Powstania Warszawskiego uczestniczą faszyci (co było pretekstem do jego rozwiązania w 2018 roku). Łatwo go przekonać, że centrum logistyczne niemieckiej sieci handlowej, zasłaniające sanktuarium w Gietrzwałdzie, to prawdziwe dobrodziejstwo.

Pozostaje pytanie, czy tak mentalnie tresowane społeczeństwo jest w stanie myśleć suwerennie, czy ma świadomość koniecznej niezależności w myśleniu, by podejmować decyzje wyborcze w interesie swego państwa. Jak na razie spora część społeczeństwa nie potrafi wybić się na niepodległość, cedując inicjatywę na organizacje międzynarodowe czy sąsiednie państwa. Totalna opozycja daje przykład.